

Nr 5 (28)

2007



Zadanie dofinansowane
ze środków MKiDN
w ramach programu
operacyjnego
"Promocja czytelnictwa"

ISSN 1732-1069

PEGAZ LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W GORZOWIE WLKP.
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH - ODDZIAŁ W GORZOWIE WLKP.

Ireneusz Krzysztof Szmidt W PAŹDZIERNIKU WYBIERAM POEZJĘ

Październik 2007. Przeżyliśmy go jakoś, choć nie było łatwo. Przez cały miesiąc, a nawet o wiele dłużej, poddawani byliśmy torturom politycznej hysterii, a nierzadko i hipnozie, przekazywanej nam przez wszystkie dostępne w XXI wieku media. Pierwsze one jej uległy. Dały sobie wmówić, że ja i wszyscy normalni ludzie w tym kraju marzą tylko o jednym: w każdej wolnej chwili słuchać ogłupiających deklaracji i zapewnień, że rząd nam załatwił kolejną RP i teraz cali szczęśliwi będziemy żyć w kraju sprawiedliwości i prawa. Że potwierdzają ten fakt z góry opłacone sondaże. Że niczego bardziej nie pragniemy, jak pławić się w politycznej plwocinie ostalej po „konfrontacjach” przeciwników, ba żeby choć nosiciele walczących o prymat idei. Że uwielbiamy teatr akcji z udziałem tych samych aktorów, w maskach ciut innych niż greckie, prowadzących w kajdankach ofiary (o ile one, upokorzone same sobie nie wymierzają „sprawiedliwości”), oskarżeń złośliwie preparowanych na użytek chwili politycznej. Przeciwno ludziom być może z gruntu uczciwym, ale czasem bezradnym wobec perfidnych prowokacji. I w końcu, że niczego nam więcej nie trzeba niż z uwielbieniem oglądać na telewizyjnych ekranach ciągle te same gęby partyjniaków, którzy za utrzymanie lub przejście władzy skłonni się nawzajem w łyżce wody potopić.

Jakąż ulgą była przedwyborczej soboty i wyborczej niedzieli tzw. „cisza wyborcza”. Gdyby tak mogło być co dzień! Bez jadu, nienawiści, licytacji coraz więcej nas kosztującej politycznej głupoty, ośmieszającej polski naród na międzynarodowych arenach.

Bracia dziennikarze zależni i niezależni! Nie podstawiajcie mikrofonów pod wąskie usta politycznych głupków, by z waszą pomocą, za darmo, upowszechniali w narodzie swoje „odkrycia” i iluminacje. Nie biegajcie za nimi z kamerami po korytarzach sejmowych, bo utwierdzacie w nich poczucie, że są bardzo, coraz bardziej ważni. To oni powinni za wami biegać i zabiegać o choć kilka minut na antenie czy o pół szpalty w gazecie, by pokazać swoim wyborcom, że są ich warcami. Nasze życie musi wrócić do normalności. Powinniśmy zajmo-

c.d. na stronie 2

Marek Grewling NON OMNIS MORIAR?

Jesień, to pora, która szczególnie sprzyja refleksji. Wszak nie trzeba być poetą ani teologiem, aby stawiać pytania o motywy ludzkiej egzystencji. Można to pytanie sformułować *in expressis verbis* i postawić wprost. Można też jesień wykorzystać jako metaforę, bowiem czas, w którym natura przygotowuje się do długiego snu zimowego, jest świetnym pretekstem do stawiania pytań o sprawy najważniejsze.

Pytania o przemijanie, o umieranie i o to, czy po ludzkim umieraniu nastąpi „ciąg dalszy”, mają poważny ciężar gatunkowy i w zasadzie *implicite* przynoszą szereg kolejnych kwestii. W związku z tym pojawiają się fundamentalne pytania o sens życia, o sens ludzkiej egzystencji i to, co konstytuuje całą orientację bytowania człowieka.

Szumi wiatr, spadają liście z drzew, a na cmentarzach płoną znicze. Jesień, już z racji przyrodniczej konieczności stawia człowieka wobec problemu przemijania i śmierci. A problem to niebanalny, skoro na przestrzeni całych dziejów cywilizacji znajdujemy tyle wątków dotyczących właśnie problemu czasowości, przemijania, śmierci, a w końcu tego najważniejszego problemu: „...i co potem?”. Takie kwestie przewijają się przez całe dzieło ludzkiej myśli i szeroko pojmowanej kultury. Częściowo znajdziemy te kwestie w poezji Klawfisa, częściowo mówię, bo Klawfis nie ośmiela się jednak posunąć do fundamentalnego zakwestionowania istnienia rzeczywistości transcendentalnej, która w jego dziele jawi się jako pewna immanencja świata poety. To już wprost zaproszenie

do zastanowienia nie tyle nad szeroką kwestią transcendencji, ale *stricte* nad pytaniem o Boga. Z naciskiem twierdzą, a nie ma w tym nic szczególnie odkrywczego, że problem przemijania, śmierci, być albo nie być rzeczywistości transcendentalnej, co zarazem może (ale nie musi) implikować być albo nie być Boga, jest nie tylko niebanalny, lecz wręcz fundamentalny. Jest bramą do rozważań nad życiem. Konkretnym, moim, tym życiem. Dlaczego? Otóż dlatego, że po udzieleniu sobie samemu odpowiedzi na takie pytania wiem, co dalej robić, jakie stanowisko zająć wobec świata i ludzkiej rzeczywistości – swoiste pokłosie sartrowskiego egzystencjalizmu. Zatem, jesień skłania też do stawiania pytań o „ciąg dalszy” po śmierci, „ciąg dalszy”, który dzięki ludowej mądrości przełożył się na osvajanie

c.d. na stronie 2

W PAŹDZIERNIKU WYBIERAM POEZJĘ (dokończenie)

wać się sprawami naszych rodzin, przyjaciół i ludzi, którym możemy pomóc rozwiązywać ich życiowe problemy. Powinniśmy chodzić do kin i teatru, czytać piękne książki, kołysać na kolanach dzieci i wnuki. Nie powinniśmy lękać się o swoje cielesne i psychiczne zdrowie. Oni, wybrani przez nas do rządzenia krajem, mają nam to zapewnić. Amy nie musimy wiedzieć, jak oni to robią, że wszystko funkcjonuje jak w szwajcarskim zegarku. I żeby było tak: gdy ktoś mnie zapyta, co sądzisz o polityce, będę mógł odpowiedzieć: od polityki mam Tuska czy innego Piłsudskiego – co nie znaczy, że polityka będzie mi obojętna. Ale proszę was – nie zabierajcie politykom czasu na codzienne wywiady, debaty itp., itd. Pozwólcie, by zgodnie z deklaracjami składanymi obficie do tej pory, zaczęli normalnie pracować dla dobra kraju, a nie puszyli mi się co dzień lub co drugi, rozparci w fotelach, obrażali nawzajem siebie a także inteligencję widzów i słuchaczy. Nie wiem, czy już nie jest za późno. Maszynę perpetuum mobile nie będzie łatwo zatrzymać, ponieważ wykreowane przez was „twarze i mordy” będą pilnować swoich przywilejów medialnych. One im tworzą publicity vipowskie i takież apanaże. One wynoszą ich na Parnas, z którego strącają poetów.

APROPOS POETÓW. W połowie października, w samym środku politycznego zgiełku, w Warszawie, na Mazowszu, w domach kultury, szkołach, klubach, księgarniach i w dworku Wojciecha Siemiona w Petrykozach, z czytelnikami wierszy, którym udało się uchronić deko prywatności – a okazało się, że było ich w ciągu trzech dni kilka tysięcy – spotykali się poeci. Przyjechali oni na XXXVI edycję Warszawskiej Jesieni Poezji z dalekich Chin, Wietnamu, z USA, Kanady, Austrii, Serbii, Rosji, Estonii, Litwy, Hiszpanii, Włoch, Ukrainy i nie pomnę jakich jeszcze, ale także z wielu miast Polski. Jak zwykle dostaliśmy do rąk prosto z drukarni antologię wierszy wszystkich poetów uczestniczących w WJP, także zagranicznych w dobrych przekładach na język polski. Są w niej i moje dwa wiersze, bo choć organizator, Zarząd Główny ZLP, zwracał koszty podróży tylko w jedną stronę, nie omieszkabym zaniechać tej cudownej imprezy. Była to prawdopodobnie jej ostatnia edycja w formie przetrwalnikowej, gdyż środki przyznane przez MKiDN oraz Instytut Książki (jak w kilku latach poprzednich) były nieproporcjonalne do rangi imprezy. Ma być lepiej. WJP została przez samorząd Warszawy wpisana do grupy corocznych imprez priorytetowych obok Konkursu Chopinowskiego, Warszawskiej Jesieni Muzycznej, Międzynarodowego Festiwalu Teatrów i in.

Na gorzowskim forum poetyckim też nieźle się dzieje i też jeszcze lepiej się zapowiada. W ostatnich dniach światło dnia ujrzały dwie książki z wierszami: pierwsza – nr 11 Biblioteki Pegaza Lubuskiego pt. „Pamiętam”, laureatki wyróżnienia w ostatniej edycji Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Z. Morawskiego - Teresy Borkowskiej, która będzie bohaterką wieczoru promocyjnego tego właśnie numeru naszego „Pegaza L.” 26 października, i druga, dawno oczekiwana, pt. „Między niebem a ziemią” Beaty Igielskiej, laureatki ponad 40 konkursów, w tym dwóch pierwszych nagród za opowiadania także w Konkursie Morawskiego. Jej tom opowiadań zebranych w książce pt. „Bon voyage” ukazał się równoległe z tomem wierszy jako 12 pozycja Biblioteki Pegaza Lubuskiego i będzie promowany dzień przed Borkowską w Klubie „Lamus”. Beata Igielska, jej poezja i proza będą bohaterami ostatniego w tym roku „Pegaza”, który ukaże się na początku grudnia.

W opracowaniu redakcyjnym są kolejne książki poetyckie: dwa dojrzałe debiuty, pierwszy Karola Graczyka, drugi Marka (Lobo) Wojciechowskiego. Trzeci zbiór wierszy złożyła do druku Irena Zielińska. Do końca roku powinny się ukazać jeszcze dwie antologie: „Smak na wiersz” młodych poetów sulęcińskich i „Wysłuchani w kamieniu Gorzowa” - poetów gorzowskich, którzy swoje wiersze poświęcili miastu w jego 750. roku urodzenia.

Wielkie poetyckie święto pod hasłem DEO ET PATRIAE zapowiadają poeci z kręgu RSTK. Zacznie się ono NOCĄ POETÓW już 27 października i będzie trwać do 11 listopada nie tylko w Gorzowie, ale także w Białymstoku i Warszawie. W cyklu imprez odbędą się lekcje poetyckie w liceach gorzowskich, spotkania autorskie, koncerty poetycko-muzyczne p.n. „Obrazy-słowa-dźwięki”, a towarzyszyć im będą wystawy plastyczne i kolejne Noce Poetów - ostatnia w warszawskim Domu Literatury.

Nasz „Pegaz Lubuski” zdobywa sobie na ogólnopolskim rynku (chyba dzięki wersji internetowej w portalu WiMBP) coraz lepszą pozycję. Otrzymaliśmy od Eugeniusza Kurzawy, członka ZG i prezesa Oddziału Zielonogórskiego ZLP, propozycję umieszczenia w nim wkładki biuletynowej, informującej o życiu oddziałów terenowych naszego związku. Podjąłem tę inicjatywę. W tym numerze już pierwsza jaskółka.

Ponieważ zbliża się październik koniec i pierwszy dzień listopada zrobiłem remanent w archiwum „Pegaza”, by wybrać trochę naszych wierszy w zaduszkowym klimacie. Nie wszystkie były wcześniej drukowane. Wiele z nich jest poświęconych poetom, którzy już od nas odeszli, inne ludziom z kręgu najbliższych, niektóre oplakują los drzew ściętych pro publiko bono. Jedna wielka nostalgia...

Na koniec się przyznam, że jednak uległem medialnej hipnozie, wybrałem nowy parlament... Jednak zdecydowanie i ponad wszystko na następną kadencję życia WYBIERAM POEZJĘ.

Iraneusz Krzysztof Szmidt

NON OMNIS MORIAR? (dokończenie)

lęku przed nią – bo czymże innym są wszelkie odmiany „dziadów” odprowadzanych w dziesiątkach odśłon kulturowo, etnograficznie, religijnych na całym świecie? W końcu, cóż obiecują systemy religijne w przytłaczającej większości? Oczywiście – życie wieczne. Jesienne obrzędy, zaduma i pamięć o ludziach, którzy „odeszli już do wieczności”, są ustawicznym powtarzaniem horacjańskiego *non omnis moriar*, wszak nie wszystek umrę. Z jednej strony człowiek próbuje wyzwolić się z gorsetu wiary religijnej, która w zamian za życie wieczne czyni z niego nietzscheańskiego wielbłąda dźwigającego z pokorą nedoręczności dogmatów i cwaniactwo uzurpatorów do prawa pośredniczenia między transcendencją a ludźmi. Z drugiej jednak strony boimy się nieistnienia, bowiem nie potrafimy sobie tego nawet wyobrazić. Taka była podstawa myśli feuerbachowskiej, wyzwala ona człowieka od jakiegokolwiek metafizyki *stricte*, jednak napawa lękiem nieistnienia. To dlatego Horacy zaklina rzeczywistość śmierci swoim słynnym „nie wszystek umrę”. Człowiek po prostu nie wszystek chce umrzeć. I to chętnie określa pozycję człowieka na świecie, jako istoty, która niezależnie od stanu faktycznego transcendencji zachowuje jakąś nieśmiertelność. Właśnie to uparte dążenie do nieśmiertelności, czy to rozumianej dosłownie i religijnie – egzemplifikowanej przez rozmaicie pojętego demiurga, czy też pojmowanej raczej metaforycznie i egzemplifikowanej przez bogactwo dzieł ludzkiego umysłu, to dążenie do nieśmiertelności, stanowi o wyjątkowej pozycji człowieka, o jego wielkości i *de facto* nieśmiertelności.

Marek Grewling

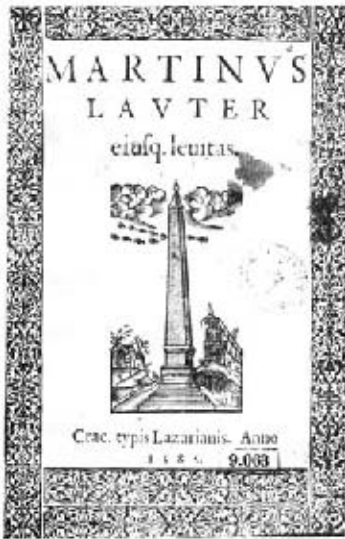
Pegaz Lubuski. Redaktor naczelny poleca w numerze:

Szkic Krystyny Kamińskiej o Sebastianie Grabowieckim - poecie barokowej awangardy * 4 kolumny wierszy poetów gorzowskich „Z powodu umierania ludzi” * „Zapiski codzienne” Zdzisława Morawskiego w 15. rocznicę jego śmierci * Wiersze i omówienia krytyczne nowej książki Teresy Borkowskiej pt. „Pamiętam”, opowiadanie Anety Gizińskiej-Hwozdyk nagrodzone w I Konkursie Literackim im. Ireny Dowgielewicz, dużo satyry oraz po raz pierwszy Biuletyn ZLP.

19 października 1607 r. zmarł opat klasztoru cystersów w Bledzewie – Sebastian Grabowiecki, w naszym regionie zasłużony dla rozbudowy i wzmocnienia tego klasztoru, ale w literaturze pięknej uznawany za poetę barokowej awangardy.

O Sebastianie Grabowieckim w 400. rocznicę jego śmierci

KRYSTYNA KAMIŃSKA



W tygłu religijnych sporów

Urodził się w 1543 r. w szlacheckiej rodzinie w Mszczycynie w powiecie śremskim w Wielkopolsce. W tym roku Mikołaj Kopernik ogłosił swoje wiekopomne odkrycie o Ziemi krążącej wokół Słońca („De revolutionibus orbium coelestium” – „O obrotach ciał niebieskich”), Mikołaj Rej wydał „Krótką rozprawę między panem, wójtem i plebanem”, a Andrzej Frycz Modrzewski opublikował pierwszy traktat „Łaski, czyli o karze za mężobójstwo”, w którym domagał się równych kar dla ludzi ze wszystkich stanów za takie samo przewinienie. Rok ten uznaje się za apogeum polskiego renesansu.

Sebastian Grabowiecki był zaledwie 13 lat młodszy od Jana Kochanowskiego, ale już należał do następnego pokolenia – do prekursorów baroku. Zdecydowały o tym bardzo intensywne w tamtych latach przemiany religijne.

Reformacja, rozpoczęta przez Marcina Lutra wywieszeniem w 1517 r. na drzwiach kościoła w Wittenberdze 95 tez nowej wiary, stała się nie tylko podstawą nowej religii, ale także atrakcyjną ideą, modą intelektualną, która musiała zainteresować każdego myślącego człowieka tamtych lat.

Odpowiedzią Kościoła był trwający blisko 20 lat sobór trydencki, zakończony w 1563 r. wypracowaniem nowej syntezy doktryny katolickiej i zainicjowaniem kontrreformacji. Wychowany w duchu katolicyzmu Sebastian Grabowiecki był wtedy studentem Uniwersytetu Viadrina we Frankfurcie nad Odrą, gdzie nauki pobierało wielu Wielkopolan. Uniwersytet ten początkowo odrzucił nauki Lutra (nazwany był nawet anty-Wittenbergą), ale z czasem coraz żywiej przyjmował nowinki religijne, głównie pod wpływem władcy Brandenburpii zachodniej Joachima II (1535 – 1571), zwolennika religii luterńskiej oraz na skutek rywalizacji ideologicznej między Marcinem Lutrem a zdobywającym coraz większą popularność Filipem Melanchtonem.

W latach studiów Grabowieckiego była to już uczelnia luterńska, ale trwały tu nieustające debaty religijne. Musiał w nich uczestniczyć, a 20 lat później, w 1585 r. przemyslenia wyłożył w broszurze polemicznej „Martinus Luter, eiusque levitas” („Marcin Luter i jego nieśladość”). Jako obrońca religii katolickiej ganił w niej poglądy Lutra, ale robił to bez zacietrzewienia, w tonie rzeczowej dyskusji.

Sebastian Grabowiecki należał do pokolenia, którego jeszcze nie wychowali jezuita, powołani w tym celu przez kontrreformację, a które pozostało wierne religii katolickiej po konfrontacji z nowinkami religijnymi atrakcyjnymi głównie dla mieszkańców państw niemieckich.

Dworzanin

Na początku lat 60. XVI w. na krakowski dwór króla Zygmunta Augusta swojego bratanka – Sebastiana sprowadził Gabriel Grabowiecki, zaufany dworzanin znany z nieprzeciętnego poczucia humoru, ale i zdolności do intryg. W „Zwierzyńcu” Mikołaj Rej wyrażał szczerzy podziw dla jego rozumu i elokwencji, z uznaniem o jego dowcipie pisał Łukasz Górnicki w „Dworzanie”. Młody Sebastian dobrze poczuł się na dworze, a wśród dworów królowej Anny Jagiellonki znalazł sobie żonę – Krystynę Czermińską. Ślub odbył się jesienią 1571 r., gdy Sebastian już podpisywał się „jurgielnik Jego Królewskiej Mości”, choć nie wiadomo, z jaką konkretną funkcją związane były jego pobory.

Państwo młodzi zamieszkali zapewne w dobrach Grabowieckiego w Wielkopolsce, gdzie urodziła się ich córka Zofia. Niedługo trwało rodzinne szczęście, bo już w 1573 r. Sebastian jako dworzanin wojewody sieradzkiego Olbrachta Łaskiego pojechał do Paryża po pierwszego króla wybranego w wolnej elekcji – Henryka Walezego. Polscy wysłannicy po króla Henryka wyznaczyli sobie spotkanie w Międzyrzeczu. Droga wiodła przez znany mu Frankfurt nad Odrą, potem Lipsk, Frankfurt nad Menem, Moguncję do Lotaryngii i była dla młodego dworzanina okazją do poznania świata. 19 sierpnia 1573 r. Polacy uroczystie wjechali do Paryża i przez cztery miesiące przyjmowani byli z honorami, na ich cześć organizowano liczne przyjęcia i festyny. W polskim orszaku było wielu wybitnych humanistów, a we Francji podejmowali ich najznakomitsi poeci tamtych lat. Pobyt w stolicy świata na pewno był dla Sebastiana Grabowieckiego wielką przygodą kulturalną.

Udział w misji francuskiej zdecydował także o opowiedzeniu się przez Grabowieckiego po stronie frakcji katolickiej, stawiającej Kościół ponad władzą królewską. Społeczeństwo nieufnie przyjmowało takie stanowisko, a pozycję członków stronnictwa podważył sam Henryk Walezy swą tajemną ucieczką z tronu polskiego. Mimo to podczas drugiej elekcji Grabowiecki pozostał wierny prymasowi i popieranej przez niego kandydaturze Maksymiliana II Habsburga na króla Polski. Tymczasem w dwa dni po ogłoszeniu przez prymasa, że królem Polski wybrany został Maksymilian II, marszałek sejmu – arianin Mikołaj Sieniawski w imieniu szlachty polskiej na tron wprowadził Stefana Batorego. Okres bezkrólewia łączył się z przekupywaniem zwolenników, częstymi zmianami przynależności do stronnictw, niepewnością, kto zasiądzie na tronie i w jakim obozie korzystniej będzie się znaleźć. O Grabowieckim dobrze może świadczyć to, że wiedział, iż przegrywa, ale nie odstąpił cesarza Maksymiliana do końca. Zachowały się listy Grabowieckiego pisane do Wiednia, w których szczegółowo informował o nastrojach w Polsce i posunięciach magnatów popierających Stefana Batorego. Nie ulega kwestii, że pobierał pensję ze szkatuły austriackiej.

Konflikt dwuwładzy w Polsce rozstrzygnęła rychła śmierć Maksymiliana II, a Batory z godnością przebaczył wszystkim zwolennikom swojego oponenta. W ten sposób Grabowiecki znów znalazł się na królewskim dworze.

W 1578 r. pojechało do Rzymu poselstwo polskie, by złożyć papieżowi akt posłuszeństwa króla Batorego. Na czele delegacji stał prymas Jakub Uchański, a jednym z członków był sekretarz królewski – Sebastian Grabowiecki. Ku radości sekretarza długo trwała ta włoska podróż. W Padwie musieli czekać cztery miesiące, bo król dowiedział się tajnymi kanałami, że prymas Uchański jako sympatyk kościołów narodowych (przeciwnych papieżowi) nie będzie dobrze widziany w Rzymie, trzeba było więc zmienić przedstawiciela króla. Zapewne wówczas Grabowiecki zwiedził Włochy, był w Wenecji, Ferrarze, a później także w Neapolu. Zetknął się wtedy z wczesnobarokową liryką religijną północnych Włoch, zrodzoną na fali nastrojów potrydenckich. Zafascynowała go ona i będzie – obok Psalterza Dawidów – głównym źródłem poetyckiej inspiracji do wierszy pisanych 10 lat później.

Na dworze Stefana Batorego początkowo Grabowiecki pełnił funkcję „secretarios non scribendes”, czyli był człowiekiem do specjalnych poruczeń, często pozostawał do dyspozycji w dyplomacji królewskiej. Do grona „secretarios” należeli najświetlejsi ludzie tamtej epoki, była to elita intelektualna swoich czasów.

Od 1581 r. przez 12 lat w kancelarii królewskiej Grabowiecki rozstrząsał spory między królem a Kościołem, mediował z różnowercami, łagodził konflikty w protestanckiej Rydze, która nie chciała uznać zwierzchności króla polskiego – katolika.

O rodzinie Sebastiana Grabowieckiego niewiele wiadomo. Obok córki Zofii miał jeszcze syna Samuela, który urodził się przed 1585 r., jako że właśnie w tym roku, może przy jego porodzie, zmarła żona Krystyna. Po jej śmierci mógł Sebastian zrealizować zamysł, z którym prawdopodobnie nosił się od dłuższego czasu – przyjął niższe święcenia kapłańskie. Musiał jednak zapewnić swoim dzieciom godne warunki życia, więc zabiegał o stanowisko dające stały przychód. Król Batory dał mu probostwo, ale na dalekich Inflantach, jeszcze za Rygą, w Lemzalu, zwanym po polsku Lemzą. Mieszkali tam albo protestanci, albo poganie, a katolikami byli tylko nieliczni, czasowo tam stacjonujący polscy rycerze. Probostwo nie przyniosło więc spodziewanych zysków, a nawet nie wiadomo, czy Grabowiecki w ogóle tam dojechał.

W październiku 1886 r. zmarł Stefan Batory i zaczęły się kolejne targi o polską koronę. Grabowiecki znów postawił na Habsburga i zaofiarował pomoc księciu Ferdynandowi. Ten nie miał jednak większych szans, więc Grabowiecki dość szybko przeniósł się do stronnictwa popierającego królewicza szwedzkiego, Zygmunta Wazę. Po objęciu przez niego tronu został korespondentem akredytowanym u monarszego dworu przez marszałka wielkiego koronnego. Spodziewał się, że król lepiej go wynagrodzi, bo spełnił stawiane wymagania: przyjął niższe święcenia duchowne, sumiennie wykonywał obowiązki sekretarskie, ale nieco się zawiódł, bo dostał pensję roczną 400 czerwonych złotych. Brak rodziny, brak satysfakcji z dworskiej służby, pogłębiająca się religijność wpłynęły na czasowe odsunięcie się jego od służbowych obowiązków i zajęcie się pisaniem zbioru liryków religijnych. „Setnik rymów duchownych” ukazał się drukiem w Krakowie w 1590 r.

Opat w Bledzewie

W 1591 r. zwolniło się stanowisko opata klasztoru cystersów w Bledzewie. Gmina Bledzew była najdalej na zachód wysuniętą gminą Polski, a zachodnie rubieże znajdowały się pod silnymi wpływami niemieckimi. W połowie XVI wieku najbliższe gminy – skwierzyńska i międzyrzecka – przyjęły wyznanie protestanckie. Do początków XVI wieku opatami byli zakonnicy niemieccy, ale – zgodnie z postanowieniami sejmów z lat 1511, 1538 i następnych – opatami w Bledzewie mogli być tylko Polacy legitymujący się pochodzeniem szlacheckim od co najmniej dwóch pokoleń, zarówno ze strony ojca, jak i matki. Opatów wybierano dożywotnio, podlegali

oni biskupom poznańskim i mieli pełną władzę w klasztorze i dobrach klasztornych. Opat także otrzymywał wsie, które przechodziły w ręce jego spadkobierców, a klasztor posiadał prawo pierwokupu. Warunek, by opatem był Polak, gwarantował, że dobra klasztorne nie przejdą w ręce obcokrajowców i innowierców.

W środę, 26 sierpnia 1592 r., zgromadzeni w Bledzewie cystersi z całej poznańskiej diecezji wybrali opatem Sebastiana Grabowieckiego, zgodnie z życzeniem króla Zygmunta III Wazy. Opactwo bledzewskie musiał dostać ktoś, komu silna wiara katolicka winna pomóc w walce z rozlewającym się protestantyzmem, a Grabowiecki swoimi wierszami gwarantował taką właśnie postawę. Kościół zaakceptował jego kandydaturę, ale zobowiązał przyszłego opata do przyjęcia pełnych święceń kapłańskich i zakonnych oraz do osiedlenia się na stałe w klasztorze. W 1594 r. Grabowiecki przyjął święcenia kapłańskie, a w 1596 – zakonne, tym samym zamienił strój dworski na habit i tonsurę. Ponadto zażądano odeń złożenia osobnej przysięgi na zachowanie kanonów, reguły oraz praw zwyczajowych obowiązujących w klasztorze. Tym samym – w przekonaniu króla – wygodne i dające niezłe dochody stanowisko okazało się bardzo dla nowego opata trudne.

Klasztor w Bledzewie był jednym z trzech najmniejszych klasztorów cysterskich w tamtych latach, a na jego zabudowania składał się drewniany kościół i mały budynek mieszkalny. Zanim Grabowiecki objął funkcję, w Bledzewie miał miejsce wielki pożar miasta, który niemal dokumentnie zniszczył także klasztorne obiekty. Aby pomóc w odbudowie, król dał Grabowieckiemu funkcję żupnika kujawskiego z przeznaczeniem zysków na budowę. Niemal przez cały okres sprawowania przez niego opackiej władzy trwała budowa nowych, murowanych obiektów. Zbudowano kościół klasztorny i tzw. stary przeorat, czyli północno-wschodnie skrzydło klasztoru. 4 września 1596 r. biskup Jakub Brzeźnicki uroczyście konsekrował kościół, ale budowa klasztoru dobiegła końca dopiero w 1619 r., już za czasów następcy Grabowieckiego – Jana V Dłuskiego.

Razem z objęciem funkcji Grabowiecki zamieszkał w dworku opatów w Starym Dworku na wysokim brzegu Obry. Otrzymał wsie Rojewo, Kalsko i Twardzielewo, a w imieniu klasztoru administrował Bledzewem oraz wioskami Rokitno, Popowo, Zemsko, Osiecko i Sokola Dąbrowa.

Przez ponad 10 lat Grabowiecki znacznie wzmocnił klasztor. W 1592 r. było tam tylko trzech braci z pełnymi ślubami zakonnymi, a za jego czasów liczba ta wzrosła do 15. O rządach Grabowieckiego dowiadujemy się wiele z ksiąg sądowych i choć były to raczej drobne sprawy, wiele mówią one o życiu na przełomie XVI i XVII wieku w tym regionie oraz o relacjach między katolickim zakonem a mieszkańcami wsi wyznającymi protestantyzm. Poddani i dzierżawcy z kilku wsi skarżyli się na zdzierstwo opata, na nakładanie nowych obciążeń, szczególnie za warzenie piwa, na ograniczenia korzystania z klasztornych lasów itp. Zdaniem skarżących opat przerzucał na poddanych należności, jakie klasztor miał płacić kasztelanowi międzyrzeckiemu. Z powyższych zarzutów Grabowiecki się wybronił, ale ciągle toczył procesy z płatnikami czynszów, dzierżawcami, karczmarzami, a nawet z lekarzem klasztornym pochodzącym ze Świebodzina. Spory te miały także zapewne podłoże religijne i wynikały z nietolerancji duchownego dla innowierców. Zeznania wszystkich się skarżących, a także lekarza składane były po niemiecku, a wypowiedzi zakonników i przedstawicieli kasztelani – po polsku. Warto podkreślić, że w żadnym z nich klasztor nie był stroną skarżącą, a jedynie musiał odpierać zarzuty. Wniosek jednak nasuwa się sam: Grabowiecki rządził twardą ręką.

Zmarł 19 października 1607 r. w wieku 64 lat. Zapewne pochowano go w podziemiach kościoła, który – podobnie jak klasztor – wyburzono po 1842 r. Rozbiórkę rozpoczęto od przeoratu, budynku wystawionego za czasów Grabowieckiego.

Poeta barokowej awangardy

Po klasztorze i po Sebastianie Grabowieckim nie ma w Bledzewie śladu, ale przecież pozostało po nim coś cenniejszego. W Bibliotece Czartoryskich w Krakowie znajduje się egzemplarz jego „Setnika rymów duchownych”, na którym – zapewne – autor własnoręcznie poczynił pewne korekty. Notatka ze strony tytułowej informuje, że egzemplarz był w zbiorach klasztoru cystersów w pobliskim Paradyżu. Może więc autor osobiście wręczył go opatowi z Paradyża, poprawiając oczywiście błędy drukarskie, ale także wprowadzając kilka zmian do wierszy? Trudno ustalić, kiedy „Setnik” trafił do zbiorów Czartoryskich w Sieniawie, z którymi został przeniesiony do Krakowa do Biblioteki Czartoryskich. Na długo zapomniano o tych wierszach. Odkrył je i wydał Józef Korzeniowski w 1893 r., a tym samym przywrócił literaturze polskiej jednego z najciekawszych poetów baroku. W 2004 r. krakowskie Wydawnictwo Towarzystwa Autorów i Wydawców Prac Naukowych „Universitas” wznowiło „Setnik”. Tom ten zawiera nie sto (jak wskazywałby tytuł), a dwieście wierszy ułożonych według precyzyjnego porządku: rozpoczynają go wiersze pokutne i dalej: oczyszczające, dziękczynne i pochwalne. Zamykają zaś modlitwy skierowane do Matki Boskiej. Ostatni wiersz to modlitwa do Anioła Stróża. Waldemar Smaszcz w analizie tomu Grabowieckiego napisał: *Bardzo jest trudno wydobyć z „Setnika” wiersze lepsze, ciekawsze, ważniejsze od innych, bo w tych kategoriach w ogóle trudno o nich mówić. Tak jak każda stacja Drogi Krzyżowej, każda tajemnica Różańca czy każde zawołanie litanijne, są one równie ważne, co – powiedziałbym – konieczne.*

Przez wszystkich badaczy literatury baroku wiersze Sebastiana Grabowieckiego oceniane są bardzo wysoko zarówno pod względem treści, jak i formy. Szczególnie zwracają oni uwagę na niezwykłą różnorodność i precyzję kunsztownej formy. Autor zastosował aż 48 rodzajów strof, wprowadził nowe rodzaje rymów, a metaforyka zaskakuje nieograniczonymi wręcz pomysłami poety. Był wirtuozem słowa, a przede wszystkim rymowania. Kunsztowna forma utworów była charakterystyczna dla całej poezji barokowej, ale u poetów dworskich służyła wyłącznie zaskoczeniu, olśnieniu czytelników, a Grabowiecki podkreśla nią swoje stany duchowe.

„Setnik rymów duchownych” ukazał się zaledwie 6 lat po śmierci Jana Kochanowskiego, a prezentuje całkiem odmienny obraz człowieka. Jeśli Kochanowski zachwyca się jego doskonałością, o tyle Grabowiecki ukazuje człowieczą naturę od biologii po anielskość, przy czym jest przekonany, że cielesność oddala człowieka od Boga. Kochanowski głosił renesansowy kult życia, Grabowiecki zaś zajmował się jakby egzystowaniem po śmierci, wprowadzał motywy marności nad marnościami, przemijania, lęku i niepokoju. Kochanowski kochał piękno, afirmował Boga i jego prawa, wierzył w Opatrzność i cnoty. Grabowiecki pełen był lęku, uciekał przed złem, które według niego w kosmosie toczy walkę o człowieka. Renesansowa poetyka, która czerpała z klasycyzmu, emanowała spokojem, harmonią, ładem i jasnością celu, podkreślała porządek i spokój świata. Człowieka baroku cechował lęk, niepewność i poczucie zagrożenia w świecie, dualizm duszy i ciała.

Klasztor Cystersów w Bledzewie



Wiersze Grabowieckiego nabierają dodatkowego wyrazu, gdy zna się jego życie: autor dokonał gorzkiego rozrachunku z samym sobą z okresu działalności na królewskich dworach, a mocno akcentował przełom duchowy, który określił jako wielką łaskę od Boga. Pokazał mozolny, pełen zwątpienia i rozterek proces odnajdywania wartości wiecznych.

Duży wpływ na literacki kształt „Setnika” miały utwory, jakie poeta poznawał podczas zagranicznych wypraw. Śledzeniem wpływów, szczególnie poetów włoskich z całkiem dziś zapomnianym petrarkistą Fiammą na czele, zajmowało się liczne grono badaczy z I poł. XX wieku. Toczył się spór, czy Grabowieckiemu należy przypisywać wszystkie poetyckie zasługi, czy uznać go za zdolnego kopistę. Pamiętać przy tym trzeba, że w tamtych latach nie istniało pojęcia plagiatu literackiego. Poeta mógł pełnymi garściami czerpać pomysły i wzory z istniejącej już polskiej lub obcej literatury. Robili tak Kochanowski, Rej, Janicki. Nie można więc czynić Grabowieckiemu zarzutu z tego, o co nie obwinia się innych. A jeśli nawet wzorował się na poetach włoskich czy francuskich, to trzeba nie lada talentu poetyckiego, by zbudować tak kunsztowną formę wierszowaną z użyciem wyłącznie polskich, zaskakująco pięknych rymów.

Badacze literatury baroku stawiają Grabowieckiego w rzędzie najlepszych poetów tego okresu obok Mikołaja Sępa Szarzyńskiego, Jana Potockiego i Andrzeja Morsztyna. Marian Brahmer napisał o nim: *Sebastian Grabowiecki jest poetą niespodzianek, ale niespodzianki to innego rzędu niż te, którymi programowo zaskakiwać będzie kawaler Marinetti i wywiczzeni w pointach konstruktorzy barokowego sonetu. Są u niego wiersze przedziwne, należące do najpiękniejszych, jakie wydała poezja staropolska.* Edward Porębowicz uznał, że *pod względem misternej budowy wiersza i wysokiego poczucia rytmiczności, może iść w zawody z najpierwszymi swego czasu.* Natomiast Andrzej Litwornia w monografii poświęconej poecie stwierdził, że *jego liryka nie przynależy do tradycji porenasansowego epigonizmu, lecz jest to poeta barokowej awangardy.* Zaś Waldemar Szarcz udowodnił, że *Sebastian Grabowiecki był pierwszym u nas wielkim poetą eucharystycznym.*

„Setnik rymów duchownych” Sebastiana Grabowieckiego zainaugurował ideologię ekspansywnego katolicyzmu i wkrótce miał się stać zalecanym modelem liryki na ziemiach polskich. Pisząc o znikomości człowieczego życia, poeta stwierdził:

Jak obłok upływa, potem z oka ginie,

Tak się z człowiekiem dzieje, choć w swym wieku słynie.

Nazad się nie wraca, co w ciemny grób wpadnie.

Mieście, w którym żył, nie pozna go snadnie.

Nie wiedział wtedy, że nawet grób jego przestanie istnieć, a miejsca, w których żył, także szybko go zapomną. Wówczas zdecydowały o tym spory religijne i polityczne. Dziś, gdy tamte właśnie są już dalekie, warto pamiętać o Sebastianie Grabowieckim, człowieku reprezentatywnym dla swojej epoki i cenionym poecie. Nie tylko w roku 400-lecia jego śmierci.



Sebastian Grabowiecki

CXLIII

Z Twej śmierci, Jezu, dochodzim żywota.
Śmierć podejmując dla nas, władzą śmierci
Bierzesz, a z Twej k nam miłości tej śmierci
Moc dawasz, co nas wpuszcza do żywota.

Śmierć, ty godność przechodzisz żywota,
Bo tobą człek ujść może wiecznej śmierci.
Nie ma nic nad cię, święta wdzięczna śmierci,
Droższego ten skarb zmiennego żywota.

Przeto i mnie zbrzydl żywot; pragnąc śmierci,
Gdyż śmierć tylko wwieść może do żywota,
Tak wielka waga w mych zmysłach tej śmierci.

Tak ja mrąc żyję; konam, tak żywota
Pochodzę i tak pożadam tej śmierci,
Że w niej jest rozkosz mojego żywota.

Maria Przybylak

W parku Wiosny Ludów

spoglądam na drzewa...
tak niedawno byliśmy
niedojrzali
i ta głęboka zieleń
tryskała soczystością

niebawem będzie jak żółć
lub czerwień, ochra, cynober

pordzewieje
jak my

i wróci – do ziemi

Zdzisław Morawski

To tylko matka

Umarła matka przesławnego wodza
Bo była chora
Jak każda siwa
Jak każda stara
I tylko matka
– napiszą w biografii wspaniałego wodza
umarła, gdy toczył on zwycięski bój

A my czytamy i myślimy cicho
Żeby nie spłoszyć nawet snu o wodzu
Że matki zawsze odchodzą niespiesznie
I tak codziennie jakby nam zupę dawały na stół

Irena Dowgielewicz

Notatka ze szpitala

Pozostaw nam nadzieję,
która jest jak rącznik
na poręczy łóżka rodzącej,

dla nas
rodzących śmierć.
Nie możesz zabierać wszystkiego
bo nawet Hiobowi pozostały psy.
Cokolwiek napiszemy
na fasadzie naszego domu,
z którego odchodzimy,
będzie płaskie i suche jak stukanie kołatki,
bo to my
jesteśmy dźwięcznością i cieniem.

Gottfried Benn

Astry

Astry – na wzbierającej fali
dni, stare zaklęcie, czar,
bogowie wagę powstrzymali
na chwilę, która trwa i trwa.

Raz jeszcze hen na nieboskłonie
światło i kir, wśród złotych trzód,
co się wylęga w starym lonie
spod szczyłych skrzydeł – jaki plód?

Raz jeszcze to, co wytęsknione
oszołomienie, różane Ty –
lato chyliło się wpatrzona,
kędy jaskółek szyk,

raz jeszcze to, co jest mniemaniem,
gdzie dawna pewność śledzi lot
jaskółki, która nurt rozgarnie,
by spijać ruch i noc.
(1936)

Tlum. Artur Kopacki

Wincenty Zdzitowiecki

* * *

Ludzie to dziwne ptaki
całe życie szukają piór
stroją myśli i skrawki
siebie
uciekają przed sobą i
światem
z kąta w kąt
do pokoju
do kuchni
do cienia
aż w końcu
rozkładają długo zbierane
skrzydła
i przez okno
odlatują do
ziemi

Papusza

Piosenka

(gilori)

Po wielu latach,
a może już niedługo, wcześniej,
twe ręce moją pieśń odnajdą.
Skąd wzięła się?
Czy w dzień, czy we śnie?
I wspomnisz, i pomyślisz o mnie –
czy bajką było to,
czy prawdą?
I o moich piosenkach
i wszystkim
zapomnisz.

Karol Gierliński-Parno

Papusza

To ten sam park i rzeczka ta sama.

Z mgły nad stawem wylania się.
Płyń nad żwirem ścieżek,
Bo przecież umarli nie dotykają
ziemi.

Gniewnie rzuca za siebie
papierowe śmieci.

I wzdycha...

Już nikt nie oczekuje jej wróżby.
A tamte dwie panisie pchające
wózek
mówią po cygańsku i wręczają
laskawy grosik
Inianowłosemu dziecku.

Pogładziła pisklęta w gnieździe
i znajomą gołębicę.
Pocałowała rudą wiewiórkę.

Dlaczego się smucisz, Ciotko?
To Wasze ukochane miasto,
to przecież Wasz zielono złoty
Gorzów.

I pomnik tu macie.

„Mam i jak dawniej wdeptują
mnie w ziemię”
odpowiedziała Papusza –
cygański Norwid.

Wiatr rzucił na wodę liść
jak złoty koleczyk.

Marek Piechocki

A.G.

* * *

Pytasz jak umarł
ten człowiek ?

Ten, którego obrazy
rozpoznawaliśmy
w galeriach
po rysunku gwałtownym
kobiecych kształtów ?

Otóż
zatrul się

Sobą

Beata Klary

**Z życzeniami
światlistej drogi***Marii Przybylak*

„Z życzeniami światlistej drogi”
podpisała się dla mnie
w tomiku

Więc dlaczego
tak bolą powieki

I co zrobić mam
ze smutnym czołem
pochyłym
nad Marii wierszami

I co zrobić mam
z moją niewiarą
w tą światłość
za nami

**Wiersze, które poszły
z dymem do Boga***Pani Marii Przybylak*

Tak wstydziła się
czasem
że wrzucała swe wiersze
w płomienie ...

Piec czerwony ze złości
buczał chwilę
myślami:
- Czemu palisz te słowa?
Ubogacić nimi trzeba LUDZI
nie Boga

Miniatura dla Witka

już nie jesteśmy sąsiadami
nasze osiedle nie jest już naszym

a przecież miał mi jeszcze pokazać
stare fotografie z zapisanymi na nich
wierszami

odłożyłam te wspominki... do jutra

zapewne kiedyś mi to wybaczy

Karol Graczyk

* * *

a gdyby tak całe miasto Wojaczków
po chodnikach wałyby się szyby
wódka w rynsztokach i fajki bez filtra
gaz ulatniałyby się z każdej twarzy

i wszystkie mordy byłyby obite
i seks sterylny po szpitalach
i wszystkie matki byłyby kochane
i ludzie szczelnie zamknięci w sobie

nie byłoby wiatru z braku skrzydeł
i szło by się w jednym kierunku
i wachało noc, brudne miasto wierszy
a wszystkie tabletki byłyby nasenne.

Po życie*Leszkowi Żulińskiemu*

Poezja to dramat:
żywi gadają od rzeczy,
umarli nigdy.

Żywi kochają na śmierć,
umarli za życia.
Ptaki z powołania lecą na południe.

W dole stado poetów
pije w lesie nad jeziorem.
Wojaczek odleciał, Stachura.
Przemek i Sadowska szykują się do
lotu.

Cała reszta po chrzest od alpagi
wędruje do jeziora.
Po chwili ktoś krzyczy: „Bruno,
jedziemy”.
Bruno nie jedzie. Popłynął na południe.

*Pociąg Warszawa – Gorzów Wlkp.
21.06.2007.*

Teresa Borkowska

Hirkowi

jest cisza
co dzieci usypia
taka
która koi
to radosna cisza

jest też cisza
kiedy
bliscy nam
na zawsze odchodzą
to bolesna cisza

Barbara Trawińska

wyrok na 600 drzew

z beztroską motyla
unoszą się nad
- barbarzyństwem

ziemi cmentarnej
brutalnie wydarto
przeszość

szumiały zielono i wysoko
oglądały trzy wieki
dając
wychnienie i cień umarłym i żywym
dopóki
wyrokiem człowieka
wyrwano sześćset
drzew z korzeniami i
odleciały ptaki
- krzyk i płacz ich jeszcze
słyszać i ludzie z nimi
- płaczą

requiem

dla Czesława Miłosza

deszcz płacze nad śmiercią poety
na jubilerską szalę kładł
słowa barwy i formę
potrząsając zgnily światem

z cierpliwością Syzyfa
wtoczył na Olimp swój talent
smak chleba wybrał na obu półkulach
rafi Odyseusza starannie omijał
lecz
sława i mądrość niosły zwątpienie
z wiarą czy bez niej

odszedł
a w dorobku tygiel i
w testamencie wiersz w kilku językach
- żegnał w nim swoje Szetejnie
nim spoczął na Skalce
deszcz zapłakał nad
losem poety

Agnieszka Moskaluk

Droga ciśnie się pod stopy
Nic przede mną Za mną

Co mi powiesz o locie
kiedy skrzydła zabrały anioły
jeszcze pióro drży we włosach
jak tęsknota

odwracam się od przepaści
odchodzą bo mnie woła...

Agnieszka Moroz

Odejścia

Siedzę na pogrzebie drzewa
z ostatniej herbaty
wylawiam spadającą czerwień liści
by w brązowym lustrze
oglądać pocięte gałęziami niebo

Siedzę na pogrzebie drzewa
gładzę sterczące bezwładnie korzenie
jak użyłone ręce
Zdrętwiały pozbawione piasku

Siedzę na pogrzebie drzewa
pasożytniczym nawykiem ludzkim
wdecham jego ostatnie tchnienia
nuceniem zastąpię mu nagranie
z automatycznej sekretarki
przyjdę kocham zapamiętałem

Siedzę na pogrzebie drzewa
moje włosy na ziemi
zmieszane z listowiem
ludzie przechodzą obojętni
wiosną - mówią
obudzą się jeszcze bardziej zielone
i tylko my wiemy
ostatni raz zasypiamy
a wiosny
wiosny już nie będzie

Aldona Robak

szpital i różowy płaszcz

wchodząc tam
zostawiła przed drzwiami
różowy płaszcz

jak po miękkim dywanie
przeszła w chłód posadzki

w białe stopy
wpijały się sople lodu
ostre jak strzykawki
zanim zwinęła ją biel
przeniknięta zapachem fiolek

marzyła o jeszcze jedneście
którą pobiegnie w czekającym
płaszczu

modlitwa

nie mogę zatrzymać
przechodzenia mojej sukni
w ciemność
płomyki światła odbite od liści
ledwo rzeźbią mnie w tle proszę

Renata Paliga

Requiem dla parku

któregoś ranka
odrabano rozłożyste ramiona
by nie mogły się obronić
ani szumieć z rozpacz...

potem pocięto w plastry
pnie co jeszcze wczoraj
wydawały się wieczne...

liczono słoje
zazdroszcząc komuś srebrników

wyrwano korzenie
szarpiąc i niszcząc potęgę
a prochy pokoleń
pod drogę rozsypało...

wśród znoju katów i przekleństw
splunąć nad kikutami tego co
pozostało
cicho i pośepnie
uleciały do nieba
uwolnione z korzeni dusze...

Irena Zielińska

Niebiański psychiatra

Taki dobry doktor
a umarł
prowadził praktykę
obsługując nawet nosicieli
śmierci

mieszkał tuż za miastem
dojeżdżał
starym samochodem

psy leczył za darmo
dlatego nadano mu ksywkę
„psychiatra”

zostawił żonę dzieci
jaśmin i kasztan w ogrodzie
stary samochód na podjeździe
i psa przybędę
który po nim
płacze

ten dobry doktor
leczyć będzie teraz
w niebie
zakatarzone psy
i świrnięte anioły

Marek Grewling

* * *

Przywołuję dzień
gdy wszyscy
wybrali się
do kościoła

We Włociszewkach
odprawia się właśnie
magiczna suma
przy świetle
lampy naftowej

W półmroku
czarny spódnik
babci Marianny
- dziadek który z psem
rankami bory zwiedzał

Przez witraże
mgła się sączy...

I z dymem kadzidła
przez witraże odeszli

Szumią drzewa
na cmentarzu

Kazimierz Furman

* * *

Kurwa!
Chyba ze sobą skończę
Nie idzie przecież iść do nikąd
Gdy po drodze schody
Szlaby zasieki
I żadnego w tunelu światła (byłem
sprawdziłem:
ani oka... nie!
nie wiem co znaczy nie
ale to było)
Wygramoliłem się z tego
Po co
Tego nie wiem
Mogłoby się nie skończyć
To co tam było
Podświadomość podpowiada że
Noc
Wieczna noc
Lepka czern
Tuman mgieł
Kosmos
Miejsce bez Boga
Ludzka marność
Nic nie bycie

Beata Igielska

Ptak umarłych i żywych

Edwardowi Dębickiemu

wydawać by się mogło
że to wszystko już było

głód i tyfus
ucieczka i śmierć
masakra i kaźń
esesman z ludzką twarzą
i powrót do Polski
opatrzyły się już
historii

a jednak rusza się jeszcze
ziemia
na mogiłach
i boli

Roman Habdas

Rzecz o Leonie

Mieszkał nieomal przy rynku
kumpel Leon
co za wszystkie skarby kieszeni
chciał ode mnie korkowiec dwulufkę
a takim
można było zastrzelić
każdego szkopa
którym raz On
raz ja
bo ciągle jeszcze
bawiliśmy się w wojnę

poskąpiłem mu jednak

i może dlatego właśnie
zginął Leon
kumpel z Garbarskiej
bo nie miał się czym bronić
gdy STARA 26
zawiodły hamulce...

Jerzy Gąsiorek

* * *

To pewne
Nie spóźnisz się
na swoją śmierć
tak jak
nie spóźniłeś się
na swoje urodziny

Bóg jest punktualny
aż do przesady

Stanisława Plewińska

Na cmentarzu

W mej wiosce mały jest cmentarz,
Krzyżami ziemia zdobiona,
Na krzyżu wieniec z jałowca,
W mogiłach ludzkość uśpiona.
A wiatr żałośnie zawodzi
Melodię żalu i trwogi,
Drzewo się kłania i rzuca
Zaschnięte liście pod nogi,
I smutną pieśń listopada
Żalną nutą zawodzi.

Spadają złote liście,
Gdzie leżą starzy, młodzi.
Liście pragną otulić
Uśpiony orszak w mogile,
Z szelestem lecą w aleje,
Leci ich tyle, och tyle.
Czasem ostry wiaterek
Chwilę mrozem zawieje,
I tabliczka na krzyżu
Skrzypi, gnie się i chwieje.

A w dzień zaduszny ubrane
Są wszystkie groby bez końca,
I od wczesnego tu ranka
Świeci się lampka tysiączna.
Wieczorem luna daleko
Bije z cmentarnej polany.
Prosta jest droga do bliskich...
Nieboskłon w ogniu skąpany...

Ireneusz K. Szmidt

Krajobraz po...

Poumierali nam poeci,
a ziemia wciąż się jeszcze kręci.
Przyszło nam żyć bez marzeń, trzeźwo,
bez alkoholu, bez pamięci.

Już pogodzeni, cisi, skromni,
z wziętą zaliczką tęgich batów,
czekamy na laskawym chlebie,
aż brat założy pętlę bratu.

I tylko nie wiadomo, który
Kainem będzie, który Ablem
i czy ofiara Panu Bogu
pakt umożliwi z Panem Diabłem.

Dźwigamy co dzień nasze ciała
na coraz wyższe piętra strachu.
I coraz dalej nam do nieba,
i coraz bliżej nam do piachu.



„Co po mnie ostanie?
pytam staroświecko
Jak dawniej pytali z trwogą w testamentach
Co z języka ostanie
Jaka żyźność ze śladu po piórze żurawim
Co wirem opada do własnego cienia
Kołując się nad nim...”

28 października 1992 r. zmarł Zdzisław Morawski, ceniony poeta, także autor powieści, dramatów, artykułów publicystycznych, inicjator wielu przedsięwzięć kulturalnych. Ostatnią jego inicjatywą było powołanie polsko-niemieckiego magazynu literackiego i kulturalnego „Prom”. Zabiegów wokół tej inicjatywy dotyczą publikowane po raz pierwszy fragmenty „Zapisków codziennych” udostępnione przez żonę poety – Marię Morawską. Pierwszy numer „Promu/Die Fähre” ukazał się w listopadzie 1992 r., krótko po śmierci poety. Ostatni, 7 numer, tego obszernego (98 stron formatu A-4) dwujęzycznego pisma nosi datę 1999 roku.

Efektom polsko-niemieckich kontaktów były także wiersze Zdzisława Morawskiego, najpierw publikowane na łamach pisma, które potem złożyły się na tom „Odrą pisane” wydany w 2005 r. Otwiera go poemat adresowany do Helmuta Preisslera, a odpowiedzią nań są wiersze tego niemieckiego poety dedykowane Zdzisławowi. Ta poetycka przyjaźń okazała się najbardziej trwałą wartością literacką, jako że po przemianach politycznych kontakty kulturalne między Gorzowem a Frankfurtem niemal zanikły. W 10. rocznicę istnienia pisma ukazała się pod redakcją Ireneusza K. Szmida antologia wierszy poetów publikowanych na łamach „Promu/Die Fähre”, a zebranych w książce pt. „Idziemy ku sobie – Wir finden zueinander” (Gorzów Wlkp., 2002). To był ostatni pozytywny akcent polsko-niemieckiej współpracy na polu literatury. Trzeba przyznać, że gros prac przy inicjatywach edytorskich wykonywała strona polska. Niemiecko-Polskie Biuro Literackie we Frankfurcie nad Odrą przygotowywało jedynie teksty niemieckie i ich tłumaczenia i czasami kupowało część nakładu po kosztach druku. Odmłodzony Zarząd Biura, pozbawiony etatów – skazany na pracę społeczną, utracił kontakt z Gorzowem przez zaniechanie. W tym układzie i strona polska nie widziała sensu w jednostronnym zabieganiu o literackie, przygraniczne przyjaźnie...

I tyle po tej pięknej inicjatywie Zdzisława zostało...

Zdzisław Morawski Zapiski codzienne (Fragmenty)

23 VII 1991

Znów odezwał się Nauschütz¹ (...) – musi mu na kontaktach bardzo zależeć. Mówi, że tę sprawę uzgodniono z Ministerstwem Kultury Brandenburgii. Chcą temu nadać rangę działań państwowo-przychylnych.

3 IX 1991

Byli Niemcy - Nauschütz i Grösche². Chcą współpracy, może wspólnych wydawnictw. Rozmowa odbyła się w Bibliotece Wojewódzkiej. Z naszej strony udział wzięli: Niedźwiecki³, Zaborowski⁴, Jach⁵, ja i p. Maria Wojdyło⁶ jako tłumaczka. Omawialiśmy program współpracy. Gdyby nam się udało zrobić 50% tego, co założyliśmy, to będzie bardzo dużo.

Muszę jednak zanotować to, co mnie zaniepokoiło. Oczywiście, oni plany niemieckie wobec naszych ziem znają, a wyszło to głównie przy obiedzie. – *Tu, oczywiście, przyjedzie kapitał niemiecki z markami i będzie rządził, a naszą rzeczą jest, by coś z tego uszczknąć dla pisarskiego stanu po obu stronach granicy. Może razem będziemy sprawować „rząd dusz”*. Zatem chcą tu przyjść, tu rządzić, a my mamy im torować drogę za małe grosze. (...) Ja nie mam gdzie wracać. Aleksandrów⁷ nie buduje mi bram tryumfalnych, w Warszawie lub Poznaniu będę petenckim konkurentem. Muszę zostać tutaj i tutaj się z podłym światem tak układać, bym mógł godziwie na śmierć zasłużyć.

19 IX 1991

Powoli przygotowuję się na spotkanie z Niemcami. Mam dwie propozycje:

a/ Wspólną grupę literacką,

b/ Wspólne pismo dwujęzyczne dla promocji myśli wyrażonych w naszej literaturze.

Wydaje się, że jest to duży program.

20 IX 1991

Byłem u wojewody⁸, by omówić sprawę jutrzejszego wyjazdu do Niemiec. W trakcie rozmowy sekretarka wniosła mu faks z kancelarii prezydenta⁹. Niewiarowski przeczytał, roześmiał się i powiedział: *No, to będę miał informacje z pierwszej ręki. (...) Kancelaria prezydenta prosi o wszelkie informacje na temat kontaktów kulturalnych z Niemcami.*

Przypadkowa zbieżność?

21 IX 1991

Zgodnie z planem byliśmy we Frankfurcie, by tam założyć grupę literacką polsko-niemiecką. Ze spotkania wróciliśmy zadowoleni, bo rafy i bagna przeszliśmy suchą nogą. Powiedziałem to zresztą Niemcom: *Przeszliśmy Odrę suchą nogą.*

1 X 1991

Konferencja z dyrektorem Wojewódzkiej Biblioteki¹⁰ w sprawie współpracy z Niemcami. Wszystko dobrze, tylko brak pieniędzy. Przecież nie możemy patrzeć tylko na Niemców i sprzedawać się im za marne grosze.

14 X 1991

Dziś odbyłem konferencję z prezydentem Wolskim¹¹ i uzyskałem obietnicę pokrycia kosztów spotkania pisarzy z Frankfurtu i naszych województw w wysokości 4 mln zł¹². Słowik¹³ to potwierdził. Obiecał też dla nas z Urzędu Miejskiego 18 mln na cele wydawnicze. Uważam, że załatwiłem dużo.

17 X 1991

Dostałem list z Frankfurtu. Pani Jola Thomas¹⁴ pisze mi o życzliwości Niemców do spraw naszej grupy współdziałania literackiego.

18 X 1991

Napisałem list do Kuncewicza¹⁵, w którym poinformowałem prezesa Piotra o naszych pracach w grupie polsko-niemieckiej.

3 XI 1991

Co mi wyjdzie z tej, może ostatniej, działalności organizacyjnej? Nie wiem. Ale wiem, że mam już dużo przeciwników, a za nimi – jak prawie zawsze – dziennikarze i działacze kultury.

5 XI 1991

Odbyliśmy posiedzenie polsko-niemieckiej grupy pisarzy. Tym razem Niemców było czterech, a z naszej strony: Niedźwiecki, Zaborowski, Szmidt¹⁶, Chadzinikolau¹⁷, ja oraz z administracji: Jach, Słowik, a także przy obiedzie prezydent Wolski. Ustalenia konkretne: pismo dwujęzyczne, 4-5 arkuszy. Współfinansowanie – my papier i druk, oni honoraria. Nazwa: „Tandem – polsko-niemiecki magazyn literacki”.

7 XI 1991

Wizyta w Urzędzie Wojewódzkim w sprawie czasopisma. Owocna. Dziś ukazał się w „Ziemi”¹⁸ wywiad ze mną na temat współpracy pisarzy polskich i niemieckich. Dałem też wywiad dla Radia Zielona Góra¹⁹.

10 XI 1991

Przeglądałem dziś swoje stare papierzyska. Ileż tam dowodów walki o zdrowy rozsądek, ile interwencji do władz w różnych sprawach, ile spraw udokumentowanych pismami, ile protestów. Myślę, że niewielu ma takie archiwum. Jeśli to ktoś kiedyś znajdzie i zechce skorzystać, będzie miał dobry materiał. Ale czy zechce? Pokupnie²⁰ mu dziś pisać, że zaciekły ze mnie „komuch”, bo w ten sposób nicniewartus pokaże, że od komuchowatości chce się odciać. Ja zaś muszę pozostać ze swoją przeszłością jak Kandyd²¹ i być optymistą w tym, że zawsze i wszędzie chciałem dany mi do przeżycia czas dobrze zagospodarować. (...) Zawsze byłem podejrzany. Za co? Za to, że chciałem myśleć i osądzać świat z pozycji myślenia... Podobnie jest i dziś. Nawet fakt, że próbuję teraz, razem z Niemcami, założyć pismo, przeszkadza wielu osobom. Dlaczego?

20 XI 1991

Telefonowali z Frankfurtu. Niemcy są aktywni i całą parą organizują biuro. Jolanta Thomas mówi, że na wszystko, co dotyczy pracy z Polską, pieniądze są. Zakupili komputery, maszyny biurowe. Dobrze, ale przykro, bo ja się trapię, z czego sfinansować pierwszy numer „Tandemu”.

30 XII 1991

Dostałem dwa listy. Jeden z Polski (Sobkowiak²²), drugi z Branschweigu (Boba M.²³). Wszyscy są zainteresowani współpracą z Niemcami i budowaniem pomostu przez Odrę. Są oczywiście obawy, czy pomost nie będzie zbudowany w jedną stronę. Poza słusznością tych obaw jest szansa dla nas, bo język polski – niestety – jest peryferyjny i wchodzenie w tę strefę jest trudne. Pani Boba M. pisze mi, że rozmawiała z żoną profesora uniwersytetu, Niemką, która pytała ją, czy Polacy piszą cyrylicą.

4 II 1992

(...) Umieszczenie kolumny literackiej zaproponowałem „Nowej”²⁴. Ci zaś suponowali, że może by u nich zrobić kolumnę kwartalną. „To lubię” – powiedzieć mogę po Mickiewiczowsku.

7 II 1992

Przecież jeśli chce się tak bardzo iść do Europy, trzeba iść przez Odrę, a tę najlepiej przejść po kładce zbudowanych porozumień. Tą kładką – pomostem mają być kontakty utrzymywane nawet wbrew przeciwnościom. Głównie zaś chodzi o to, byśmy przez te kontakty mogli wytwarzać grunt, na którym stworzymy prawdziwy obraz Niemca w oczach Polaka i odwrotnie. Sądzę, że taka kolumna w gazetach ich i naszych może być przyczółkiem dobra. Jestem wdzięczny „Nowej”...

1 III 1992

Pracowałem nad przekładami Preisslera²⁵. To niezły poeta. Ma poetycka wyobraźnię i głębokie widzenie rzeczy. Dotrę do jego dna.

8 III 1992

Dziś napisałem utwór poetycki „Odrą piszę”²⁶. Jest to coś w rodzaju wezwania do głosu Helmuta Preisslera.

23 III 1992

Odra nie ma w Polsce literatury. Może więc zrobić z tej granicznej rzeki coś w rodzaju Renu na ładach Niemiec i Francji? Stworzyć artystyczny region Odry. Wprowadzić tę rzekę do literatury polskiej, popłynąć nią do morza ludzkich wyobrażeń.

15 IV 1992

Telefon z Frankfurtu. Chcą, bym ja był prezesem Deutsche-Polnische Literaturbüro. Czy zgodzić się na taki wybór? Oczywiście, że jak będę „President” odejdę od redagowania pisma. Wolę być „Starzec-Oficjal”. A jak to będzie przyjęte u nas? Sądzę, że dobrze.

9 V 1992

Wczoraj byliśmy we Frankfurcie. Wybory odbyły się w głosowaniu jawnym. W skład Zarządu weszli: Z. Morawski – prezes, Grösche – wiceprezes, dwaj sekretarze – Słomka²⁷ i Klemt²⁸. Słomka będzie też wespół z Peltschem²⁹ zajmował się pismem „Prom”.

Najważniejsze jest to, że na moje poetyckie posłanie w postaci poematu „Odrą pisane” Preissler odpowiedział wzruszającym listem, w którym aż kipi od szczerzego wyznania, że od dłuższego czasu umilkł, a mój wiersz otworzył przed nim na nowo pokład poetyckiej eksploracji. Jeżeli czyn taki wprowadziłem w życie, to stała się rzecz ważna. Dla człowieka najważniejsza...

Wybór:
Maria Morawska



Okladka pisma „Die Fähre/Prom” (nr 2/3 1993) z pierwodrukiem dialogu poetyckiego Zdzisława Morawskiego i Helmuta Preisslera

1. Joachim Nauschütz – pisarz z Frankfurtu n. O., potem kierownik Biura Literackiego we Frankfurcie.
2. Grösche – literat z Frankfurtu
3. Witold Niedźwiecki – prozaik z Gorzowa
4. Tadeusz Zaborowski – w latach 90. aktywny działacz stowarzyszeń kulturalnych, podejmował próby literackie
5. Sławomir Jach – wówczas dyrektor Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej
6. Maria Wojdyła – tłumaczka z języka polskiego na niemiecki i odwrotnie, często uczestniczyła w przygranicznych kontaktach kulturalnych

7. Zdzisław Morawski urodził się w Aleksandrowie Kujawskim, to jego rodzinne miasto
8. Wojewodą gorzowskim był wtedy Wacław Niewiarowski
9. Prezydentem Polski był wtedy Wojciech Jaruzelski
10. Sławomirem Jachem
11. Chodzi o prezydenta Gorzowa Wlkp. Nikodema Wolskiego
12. 4 mln zł to 400 zł po denominacji
13. Janusz Słowik – naczelnik Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta w Gorzowie Wlkp.
14. Jolanta Thomas – tłumaczka ze strony niemieckiej, Polka mieszkająca we Frankfurcie n. O.
15. Piotr Kunczewicz – wówczas prezes Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich
16. Ireneusz Krzysztof Szmidt – wówczas prezes szczecińskiego Zarządu Oddziału Związku Literatów Polskich
17. Nikos Chadzinikolau – wówczas prezes poznańskiego Zarządu Oddziału Związku Literatów Polskich
18. Chodzi o tygodnik „Ziemia Gorzowska”
19. Obecnie to Radio Zachód
20. Zdzisław Morawski często sam tworzył nowe wyrazy, a także lubił się posługiwać nietypowymi wyrażeniami, tu: pokupniej, niecniewartus, komuchowatość
21. Kandyd – tytułowy bohater powieści Woltera z 1759 r., symbol człowieka optymisty
22. Czesław Sobkowiak – poeta z Zielonej Góry
23. Znajoma
24. „Gazeta Nowa” – ukazywała się w Gorzowie na początku lat 90. jako konkurencja dla „Gazety Lubuskiej”
25. Helmut Preissler - poeta z okręgu frankfurckiego
26. Poemat opublikowany pod tytułem „Odrą pisane”, który dał tytuł całemu tomowi poetyckiemu opublikowanemu w 2005 r.
27. Bronisław Słomka – literat i dziennikarz z Barlinka
28. Henry-Martin Klemm – poeta z Frankfurtu
29. Steffen Peltch – doktor, krytyk literacki z Berlina

Władysław Łazuka

*Wiersze poświęcone pamięci poety, prozaika
Zdzisława Morawskiego*

Wspomnienie II

Staliśmy przy krawędzi skweru
wiatr sywał pył prosto w nasze oczy
upał i ruch jak to w centrum
które ul przypominało
– lato w pełni wielodniowej suszy
a teraz aura jakby miało się na burzę –
granat chmur, porywy i pomruki gromów
błyskawice łączyły plusy i minusy

w nas też się coś kłębiło – gnało do rozmowy
z pierwszym deszczem zwiodło do empiku
a czas był taki żeby ponazywać
widzialne, niewidzialne
odpowiednim słowem
Przez chwilę milczeliśmy
– było nad czym myśleć –
i mieszała się proza z najczystsza poezją
dysputy wiedliśmy aż zegar przywołał
szarą rzeczywistość
wyznaczał drogę
tęcza miasto objęła i szło na pogodę

RETRO PO GORZOWIE

Zniknęły powojenne gruzy, a z nimi moje dzieciństwo
– powraca tylko wyobrażenia dziecka i wspomnienia:
– widzę tramwaj nr 1 obok „Arsenału” i słyszę pisk, kiedy wjeżdża w Hawelańską, mija Katedrę, jest już na moście, gdzie Warta miasto przecina, potem Grobla, kościół, dwie szkoły po drodze, park z ogólniakiem

– teraz wspina się na „Kanał Ulgi” mostem do Roszarni i zawraca w drugi koniec miasta obok Katedry na zachód:

– przez Chrobrego, gdzie nad Kłodawką wierzby płaczące, pod górę na Mieszka, mija „Casablankę”, kapliczkę, „Temidę”, dużą szkołę i już Chodkiewicza, przystanek końcowy

– tu dzielnica kolorowych domków

Przy Katedrze linie się krzyżują i wsiadamy w „dwójkę”:

– Wandą Wasilewską mijamy „Wenecję” zamyśloną nad wodą, spalony dworzec i gazownię aż do Tkackiej, starych domków i fabryk włókienniczych,

– przy „Makaronach” koniec, dalej wieś Wieprzyce – dziś dzielnica miasta.

Z Południa udajemy się na Północ w kierunku Warszawskiej:

– mijając Poczta jesteśmy w Centrum i znowu Katedra, a dalej Zarząd Miejski, milicja, apteka, szkoły, teatr, muzeum, kościoły, szpital i mały cmentarz na wzgórzu. Skręcamy w lewo Pomorską, w górę, obok „Jungu”, „Włókna”, żegnamy cmentarz poniemiecki i park, cmentarz wojenny, park i szpital, a przy elektrowni – przystanek końcowy. Dziś największa dzielnica – Górczyn, zwany Manhattanem.

Często, na niedzielnych spacerach z dziećmi, ze „Schodów donikąd” podziwialiśmy stare miasto i mury obronne, które piwały historię tej Ziemi, niegdyś Piastowskiej:

– przez siedem wieków własność Germańska

– niszczone najazdem Husytów i Szwedów

– pół wieku siedziba Krzyżaków

Przetwała wojny i pożary, by do Macierzy powrócić.

– Ale to już – inna Polska.



foto: Waldemar Kućko

FINAŁ



6 października w Teatrze Letnim w Gorzowie zakończona została kolejna edycja konkursu połączona z wręczeniem nagród. Przyznali je jurorzy: Nikos Chadzinikolau – poeta z Poznania – przewodniczący, Stefan Pastuszewski – red. nac. „Akantu” z Bydgoszczy i Stefan Jurkowski – poeta i krytyk z Warszawy, którzy obradowali w dniu 17 września br.

Na konkurs napłynęło 576 prac, w tym 446 prac w kategorii poezji, 118 prozatorskich i 12 słuchowisk.

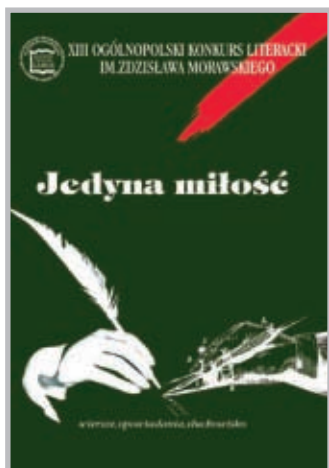
W kategorii poezji kolejne nagrody otrzymali: Andrzej Jakub Mularczyk z Ostrzeszowa, Dorota Grzesiak z Bytomia Odrzańskiego i Michał Murowaniecki z Łodzi. Wyróżnienia przypadły Teresie Borkowskiej z Gorzowa Wlkp. i Marzenie Lewandowskiej z Kowala.

W kategorii prozy jury nagrodziło prace: Magdaleny Kuśnierczyk z Katowic (I nagroda), Krystyny Myszkiwicz ze Zgorzelca (II nagroda), Elżbiety Protoklitow z Gorzowa Wlkp. (III nagroda), Elżbiety Wojnarowskiej z Krakowa i Tadeusza Charmuszko z Suwałk (wyróżnienia). Jedyną nagrodę za słuchowisko (ufundowaną przez Radio Zachód) otrzymał Jarosław Cłapka ze Szczecina.

Fragmety nagrodzonych prac zostały wykorzystane w inscenizacji przygotowanej przez Iwonę Kusiak, w której wystąpili aktorzy – Teresa Lisowska, Kamila Pietrzak i Jan Mierzyński.

Nagrodzone prace zostały wydane w książce, której tytuł „Jedyna miłość” wzięto z opowiadania Magdaleny Kuśnierczyk nagrodzonego I nagrodą.

W uroczystości uczestniczyło szerokie grono zainteresowanych literaturą, co z uznaniem dla społeczności Gorzowa podkreślił juror Stefan Pastuszewski w omówieniu konkursu. Natomiast jury w protokole stwierdziło, że konkurs został przeprowadzony profesjonalnie i może być wzorem dla organizatorów innych konkursów. A organizatorami byli Klub Myśli Twórczej „Lamus” oraz Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna.



WIERSZE LAUREATÓW

I nagroda w kategorii poezji

Andrzej Jakub Mularczyk

Zupa szczawiowa

I oto mamy swój Egipt
Musimy przemierzać
Pustynie bezrobocia
By osiąść w spichlerzu Irlandii
Tam na zielonych łąkach
Siedem krów tłustych

Przez tunel La Manche
Jak przez Morze Czerwone
Powrócimy
Do między porośniętej szczawiem
I do połówki jajka
Jak oko cyklopa
Zanurzonego w zupie

III nagroda w kategorii poezji

Michał Murowaniecki

Pub.lic Relations

małe myśli bawią się

w kurz. zwyczajne otoczenie,
krążek spostrzeżeń w popołudniowej chmurze
jawnych snów, słów wyjąłowionych jak gaza.
cudzy papieros gasi pragnienie wyrażania się
z siebie. puszczaemy sobie winyle z szafy, dymki
pytajników i parentez. piana leniwie osiada
na ścianach, szlanki zachodzą

smutnym wzrokiem
mężczyzn przybitych do kontuaru,
szukających palcem
treści w popielniczkach. wyjdziemy na dwór,
ujrzemy spokojną twarz faceta

kucającego w deszczu,
będzie dopalał peta ze szpar chodnika i
będzie miał rację. rozejdą się skojarzenia.

Marzena Lewandowska

Rozgoryczona

twoja nieobecność
kaleczy ostrą ciszą
i wykluwa oczy marzeniom

po co świat
jeśli bez ciebie

Wiersze Teresy Borkowskiej wyróżnione w Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Zdzisława Morawskiego

* * *

pada od wczoraj
cichutko
jednostajnie
jakby w zamyśleniu

co robisz w taką pogodę

malujesz
strugi deszczu
spływające zakurzonymi
nie mytymi
od dawna oknami

spacerujesz
pustymi ulicami
dziwiąc się że
w butach chlupocze
a ubranie niewygodnie ciężkie

co robisz w taka pogodę

* * *

jest w myśleniu
odrobina szaleństwa
kolejnej nieprzespanej nocy
bezbarwnie spędzonego dnia

w Katedrze
cicha rozmowa z Bogiem
po niej

smagam się biczem wspomnień
do krwi
żywcem krzyżuję niespokojne ciało
w bezsensownym milczeniu

w Katedrze kolejna
cicha rozmowa z Bogiem
po niej

jest w myśleniu
odrobina szaleństwa...

* * *

pieszczę dusze wspomnieniem
piękna

cudnym kolorowym kwiatem
bez kolców
świeżym
pachnącym

lecz cóż
to tylko chwila
tak piękne w życiu
są tylko one

dzisiaj kolce wysuwa
rani boleśnie
traci zapach
dusi mnie

wspomnienie

Wiersze Teresy Borkowskiej z nowego tomu „Pamiętam”

* * *

wspięłam się na drzewo
wiadomości dobrych i złych

zniecka wicher dziejów
wstrząsa gwałtownie
kulę się rozpaczliwie
gałęzie bezlitośnie
całe życie chłoscza

zamykam oczy
zatykam uszy
zamykam usta
chcę być
ślepa głucha milcząca

a drzewo szepce
nie uciekaj
widzisz ja trwam
choć od korony po korzenie
niejedna błyskawica rozdierała pień
nie uciekaj wicher ustanie
gra potoczy się dalej
graj
przecież wszyscy grają



* * *

czuję w jednym świecie
myślę i przeżywam
w innym
w środku
melancholijny mrok
i cicho tak
w jesiennym mieście
i u mnie cicho

smutnych ludzi
dziwnych ludzi
spotykam codziennie
w tym jesiennym mieście
gdzie pieniądz i władza
panoszą się niepodzielnie
gdzie smutna bezradność
by mówić prawdę
by godnie żyć
by być

w tym jesiennym mieście
brak miejsca na szczęście
moje



Urszula M. Benka

Światło w ciemności

Kształtowanie się wyobraźni poetyckiej w obrębie obecnej kultury napotyka na mnóstwo głuchych ścian. Kultura jest masowa, cechuje się natarczywością i pośpiechem. Wszędzie tam, gdzie artysta już choćby ze względów osobistych nie pragnie epatować modnymi tematami i traktuje odbiorcę delikatnie, oszczędzając mu pouczeń, gotowych też, czy wreszcie objaśnień „programowych”, staje się czymś w rodzaju delikatnej rośliny. Środowisko wydaje wyrok lub pozwala rozkwitnąć. Bo przecież piękno jest właśnie wyrazem dystansu poety do tworzywa oraz niewidzialnej materii przeżyć, ale również żywotności tego, co we wschodniej filozofii bywa nazywane otaczającym nas „ciałem eterycznym”.

Walczyliśmy o kulturę, o ocalenie od zapomnienia, o swobodę kreacji i ekspresji? Najnowszy tomik Teresy Borkowskiej jest książką pod kilku względami znakomitą. Ten najbardziej banalny powód – autorka, zauważona już przy debiucie, a po drugim tomiku „Listy do Pana K.” nominowana do prestiżowego Lubuskiego Wawrzynu Literackiego i w opinii kilku wymagających krytyków mająca przysłowiowy lwi pazur – w trzeciej swej książce pt. „Pamiętam” prezentuje nieporównanie dojrzalszą osobowość oraz warsztat artystyczny. Już Kazimierz Furman podkreślał we wstępie do debiutanckiego „Szukam siebie” Teresy Borkowskiej, iż przy ogromnej wrażliwości odbiorca zmagać się będzie z tym, co osłupiające, zniewalające i... niewolące. Wyczuwał jakieś podziemne barbarzyńskie energie, narcystyczną agresję, przeistaczającą się w odwagę stworzenia czegoś – z czegoś. A tym są zazwyczaj olśnienia i cierpienie. Borkowska szukała po omacku. Nie próbowała ani kokietować, ani skamleć, a więc pytanie – jak? Ciekawy, inspirujący pomysł rozmów z „Panem K.”, jaki dał jej nazwisko, z dzisiejszej perspektywy okazuje się tylko wstępem i przede wszystkim wykroczeniem poza pewien magiczny krąg narzucanych sobie emocji. „Pamiętam” urzeka swobodą i autonomią piękna. Jest piękne.

Niemniej, trudno przeczyć, iż dojrzewanie, nawet imponujące radykalne samo w sobie, jest procesem zupełnie naturalnym i raczej jego brak może zwrócić uwagę. Dlatego przejdę nad nim do porządku. Odczytywanie wierszy w ostatecznym wymiarze jest zawsze problemem czytelnika, to on mówi o sobie – nie poeta. To czytelnik, interpretator, dokonuje ekspiacji, to on bezwiednie uwypukla bądź bagatelizuje pewne treści. Z tego punktu widzenia edytorski pomysł, aby wierszom nadać jakąś wizualność, jest wspaniałą, zwłaszcza dzisiaj, gdy wydawcy produkują książki w wyobraźnia w tym bowiem wydaniu w unikalny sposób przesyca się z kongenialną szatą graficzną. Byłam urzeczona. Teksty nabrały ruchu, finezji, dystansu do czegoś, co nazwę literackością – odbite w ilustracjach, które wobec mroczniejszych nastrojów okazują się światłem w ciemności, księżycem płynącym wśród chmur. Teksty znakomicie zaprojektowane wizualnie, brzmią pełnym głosem. To jest dzisiaj tak rzadkie, tak zazdrośnie rezerwowane dla autorów już dawno oklaskanych i poprzycinanych w szkolne ramki. Aczkolwiek – tu oddam ukłon talentowi Bogusława Jagiełły, zafascynowana jego grafiką, miałabym chęć poznać ją szerzej, i aż kusi mnie myśl o wystawie, do której to Teresa dodałaby jak perełki jakieś frazy, gniewne lub namiętne, cierpko-słodkie, a przede wszystkim mądre na wielu poziomach. Gratulacje dla świetnej teraz autorki, autora ilustracji – i wydawców: Oddziałowi ZLP w Gorzowie Wlkp. i też gorzowskiemu Wydawnictwu Artystyczno-Graficznemu „Arsenal”, a zwłaszcza sprawcy edytorskiego kształtu książki Teresy Borkowskiej - Ireneuszowi K. Szmidtow! c.d. na str. 16

Beata P. Klary

Jestem kobietą o rozumie kubusia puchatka...

Książka Teresy Borkowskiej pt. „Pamiętam” jest – książką. Chcę podkreślić, że nie tomem poezji, a właśnie książką. Jest jedną z tych książek, którymi wydawcy zalewają nasz kraj, a w których czytelnik jest traktowany po macoszemu – jako nieoczytany, niemający gustu poetyckiego „pozeracz słowa”. Nie lubię takich książek. Oczywiście nie o moje upodobania tutaj chodzi, gdyż mam ocenić wiersze Borkowskiej obiektywnie. Zaczę więc od tego, że w momencie gdy więcej ludzi pisze niż czyta, autor powinien dążyć do pewnej indywidualizacji swojej wypowiedzi. Objawia się to przede wszystkim w poezji poprzez oryginalne metafory, charakterystyczną budowę, osobisty, nietuzinkowy sposób obrazowania. Tego w wierszach Borkowskiej nie ma. Za to jest banalne pisanie o duszy w kilku kolejnych wierszach (s. 10, 12, 13, 27) *powiedziałam ci o mojej miłości prosto z duszy*; pisanie o nadziei (s. 29,30,32), o sercu, zdradzie; jest bardzo proste, odkrywające wszystko podejście do tematu erotyki *jak wąż wślizgujesz się we mnie miłosną pieszczotą/jak wulkan wybucha gorącą lawą wśród wilgotnych ud*. Tak zwana kawa na ławę, a ty czytelniku wruszaj się i nie czuj niesmaku.

Owszem, w książce występuje sporo nawiązań do mitologii, do archetypicznych mitów, do postaci Penelopy, Odysa, Tantalą, Zeusa, Hery, Orfeusza, Eurydyki, Ariadny, Tezeusza, Dafne. Zamykającymi te nawiązania są słowa wiersza: *czytam starożytne mity i z jakiegokolwiek strony bym podeszła to jako żywo odnoszę porażające wrażenie/że bogowie i boginie herosi i nimfy harpie i inne indywidua to cali my*. Jak najbardziej tak, przecież taka jest właśnie wymowa mitologii i tego uczy się dzieci w piątej klasie szkoły podstawowej. Czy trzeba aż dojrzałej kobiety, by tę prawdę zaakceptować? Chyba że przyjmie się za prawdziwe słowa, jakie (i tu jest jeden wielki plus dla autorki – umiejętność żartowania z samej siebie i podejście z dystansem - to wielki dar) padają w książce: *dochodzę do wniosku że jednak jestem kobietą o rozumie kubusia puchatka/ być może pozostanę nią na zawsze*.

Od tego trzeba było rozpocząć. Czytelnik inaczej by do owej książki podszedł, wiedziałby, że to zabawa, że konwencja odbioru tej książki jako poezji nie ma tutaj miejsca. Ale słowa te padają na końcu, gdy prawie trudno już dotrzeć do tego miejsca. Trudno po wielkim znudzeniu treścią. Zdecydowanie wiersz ostatni powinien być na stronie pierwszej. Wiele by czytelnikowi wyjaśnił:

*dziwo mową dorosłego
zagaduję Bartusia
a ten mały brzdąc
patrząc na mnie poważnie
najwyczajniej w świecie mówi*

głupotki opowiadasz

*co to są głupotki
pytam rozbawiona*

*głupotki to głupotki
i tyle*

*koniec międzypokoleniowej rozmowy
to dziecko otwiera mi oczywiście*

czuję wstyd

Tekst bardzo wymowny. Nie umiem nic więcej na ten temat powiedzieć, za jednym wyjątkiem – wspaniałe ilustracje posiada ta książka. Wykonał je utalentowany grafik Bogusław Jagiełło.

ŚWIATŁO W CIEMNOŚCI (dokończenie)

PS. W liście do Teresy, z podziękowaniem za książkę „Pamiętam” – pamiętam, że napisałam i sama siebie tu zacytuje: Coś wspaniałego, poczynając od tego, co widzialne: okładka, papier, ilustracje, czcionka, projekt stron. Ponieważ niektóre z tekstów dobrze pamiętam choćby z „Pegaza”, np. ostatni chronologicznie – o Warcie, to bardzo żywo czuję teraz, jak nabrały pełni. Jest zresztą w teorii literatury taki termin: „pełnia dzieła literackiego” – czyli całościowy efekt, jaki dorzuca forma i sytuacja odbioru. Np. słuchacz muzyki we wspaniałej La Scali: wszystko działa, są zapachy, smaki wina czy czekoladek w pozłacanym celofanie. Wiele w tym snobizmu i ulegania sile pozorów, a wiele wysmakowania i kultury obcowania z pięknem... A w ogóle wiersze znakomite, częstokroć wstrząsające. Z tomiku na tomik sama coś w sobie odkrywasz i sublimujesz. No i chyba szczęśliwe to spotkanie z Bogusławem Jagiełłą (...). Jeszcze raz dziękuję za tę piękną książeczkę.

Urszula Benka

Małgorzata Olechnowska

Pani B. o Panu K., czyli studium kobiecej duszy

Teresa Borkowska znana jest zapewne miłośnikom gorzowskiego słowa drukowanego. Debiutowała na antenie Radia Zachód, gdzie czytano jej wiersze. Publikowała także w „Pegazie Lubuskim”, kwartalniku „Pro Libris” i roczniku „Lamus”. Teresa Borkowska to kobieta dojrzała, która zakosztowała niemal wszystkich dań serwowanych przez życie. Dzięki swojej sprawności językowej opisuje ich smak oraz zapach w sposób plastyczny i niemal namacalny.

Trzeci tom jej wierszy, zatytułowany *Pamiętam*, urzekł mnie swoją wiarygodnością. Kreowany przez autorkę świat jest pełen uczucia, ciepła i dotyku. To świat widziany oczyma kobiety, która boi się przemijania i samotności. To świat kobiety, która szuka miłosnych uniesień i nowych doświadczeń.

Pamiętam to swoiste studium kobiecej duszy, podzielone na cztery, zależne od siebie części.

Pierwsza, *wielka niewiadoma*, opowiada o przeszłości i towarzyszących jej uczuciach. Tych, wywołanych przez wspomnienia bolesne (*tkwisz dzisiaj jak zadra / w poranionym sercu*) oraz tych, o których zapomnieć nie sposób (*pamiętam / Twoje / przepiękne*

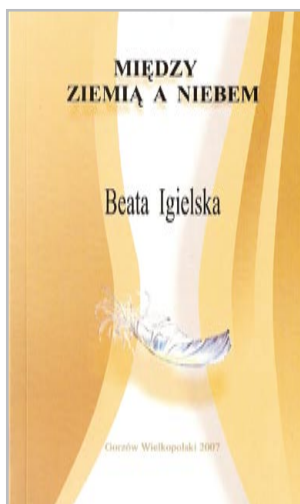
spojrzenia / jak koily i uspokajały / mi duszę). Wiersze zamieszczone w tej części obfitują w namietność i prowokację. Są dynamiczne i pobudzają czytelnika po to, by stać się...

ciszą bolesną. Ten rozdział otwiera wiersz zatytułowany *Młodość to życie*. Autorka stwierdza w nim *ja jestem przeżycie*, wyrażając w ten sposób swoją obawę dotyczącą upływu czasu. Jako osoba dojrzała zdaje sobie sprawę z tego, że życie nie trwa wiecznie. Być może dlatego rozpoczyna poszukiwania innych wartości. Odnajduje je tym razem w modlitwie i w miłości do Boga, która pomaga w samorealizacji. Pisarka udowadnia to, pisząc *wyraz tak wielkiej wiary / odczułam dzisiaj / na wieczornym spacerze*. Utwory tej części są utrzymane w spokojnej, wręcz milczącej tonacji. Odzwierciedlają prawdopodobnie spokojne wnętrza doświadczonych i pogodzonych z upływem czasu kobiety. Nie wykluczam jednak, że sprawcą tego spokoju jest obojętność i apatia, co zdaje się potwierdzać wiersz ze strony 34.

Zamieniam się w kamień to rozdział trzeci. Najbardziej tajemniczy, pełen magii i fantastyki. Tu ponownie spotykamy Pana K., obecnego także w poprzednich tomikach pisarki. Razem z nim po raz kolejny rozpoznajemy stworzoną przez pisarkę figurę poetycką w postaci Wysokiego Zamku. Te imaginacje nadają kolejnym wierszom lekkości. Natomiast niedomówienia kreślą pewną sferę prywatności autorki. Pan K. jest ezoteryczny i zapewne dlatego tak inspiruje. Borkowska, podobnie jak w poprzednich częściach, tak i w tej stwierdza *czasu mam coraz mniej*. Ta świadomość paraliżuje. Okazuje się jednak, że nie zawsze, gdyż można robić unik typu *a gdyby tak / zobaczyć świat inaczej / śmieiej wkroczyć w życie*. Te trzy niepozorne wersy stają się świadectwem ogromnych pokładów energii, jakie odkrywa w sobie autorka. Nie zważając na kłody, które życie kładzie jej pod nogi, Borkowska w swoich wierszach szuka nieśmiało nowych dróg. Ma nadzieję, że tym razem odnajdzie to, na co całe życie cierpliwie czekała.

Część czwarta *co to są głupotki?* jest doskonałym uzupełnieniem. Dopelnia i do pewnego stopnia banalizuje to, co autorka chce przekazać odbiorcy. Autentycznego charakteru wypowiedzi nadaje szczególnie postać Bartusia, który *najzwyczajniej w świecie mówi / głupotki opowiadasz*, zamykając w ten dziecinnie prosty sposób trzeci tom wierszy Teresy Borkowskiej.

Pamiętam to lektura dla kobiety w każdym wieku. Autorka zarejestrowała cały wachlarz uczuć po to, aby móc udostępnić te wrażenia czytelnikowi. Atutem tej poezji jest jej lokalność. W wierszach rozpoznajemy Katedrę oraz Wartę, która *jak gdyby nigdy nic / płynie / wciąż płynie*. Tom jest bardzo dobrze skonstruowany. Po jego przeczytaniu odbiorca ma poczucie sytości. Jeśli ktoś ma ochotę na tego typu doświadczenia, gorąco polecam!



Nowe książki Beaty Igielskiej

W październiku ukazały się dwie książki Beaty Igielskiej ze Skwierzyny. Wydawnictwo Wojewódzkiego Ośrodka Metodycznego w Gorzowie wydało jej tom wierszy „Między ziemią a niebem” w opracowaniu redakcyjnym Anny Makowskiej-Cieleń, zaś w serii „Biblioteka Pegaza Lubuskiego” wydany został tom opowiadań pt. „Bon voyage”. Wydanie tej ostatniej książki było możliwe dzięki finansowemu wsparciu Rady Gminy Skwierzyna. Promocje książek odbyły się 25 października w Klubie Myśli Twórczej „Lamus” i 27 października w Skwierzyńskim Ośrodku Kultury. Szersze omówienie tych wierszy i opowiadań zamieścimy w następnym numerze „Pegaza”.





Ewa Urbańska-Bartoszewicz

Urodziła się w Warszawie, ale od dzieciństwa dorastała w podgorzowskim Świerkocinie, gdzie ciągle wraca, spędzając letnie wakacje u rodziny. Jest absolwentką I LO w Gorzowie. Studia polonistyczne skończyła w Zielonej Górze (1984) i tam debiutowała w uczelnianym piśmie literackim „Faktor”, redagowanym przez Andrzeja Bucka i Eugeniusza Kurzawę. Po przyjeździe do Warszawy pracowała w różnych szkołach jako nauczycielka języka polskiego, bez reszty poświęcając się uczniom i rodzinie.

Poważne kłopoty zdrowotne odsunęły ją od pracy zawodowej i pisania, ale po wygranej walce z chorobą zaczęła publikować swoje wiersze w „Sycynie”, „Literaturze”, „Magazynie Literackim”, „Poezji Dzisiaj”, „Nowej Okolicy Poetów” i wielu innych pismach. W 1999 r. w wyd. „Nowy Świat” (dawniej wyd. „Magazynu Literackiego”)

w Warszawie ukazał się jej tomik pt. „Wszystko... o Ewie?”, który tytułem nawiązywał do znanego filmu Josepha L. Mankiewicza z 1950 r. W jednym z wierszy w nim pisała: „mam taki pomysł: urodzić się po raz drugi”. Ten drugi raz, po białym, szpitalnym okresie, to podjęcie współpracy ze Służewskim Domem Kultury, w którym prowadzi internetowe strony poetyckie „Poezja nad Dolinką”, organizuje konkursy, imprezy poetyckie, warsztaty, redaguje antologie młodych twórców. Współpracuje z tak uznanymi poetami, jak: Zbigniew Jerzyna, Jerzy Górzanski, Anna Piwkowska, Tomasz Jastrun.

Ten drugi raz to również tomik pt. „Biały wartownik”, wydany w 2007 r. w Warszawie przez Polską Oficynę Wydawniczą. Autorka ma dalsze plany na życie i na pisanie.

Z tomiku „Wszystko... o Ewie?”

prolog:

„o sobie piszę, bo każdej chwili
jest we mnie fragment
innego człowieka”

zakończenie:

„cokolwiek by mogło nazwać się we mnie
chwilą jest
która nie zaznała czasu”

Surrealizm

Twoją głowę otaczają zielone łabędzie
z ust liliowych wychyla się zyrafa
a pod piersią mieszkają kolibry
ręce mchem porastają
oczy i uszy błękitne
niczego nie chcą
nic nie mają

na plecach tygrys się jeży
w biodrach panuje małpa
nogi cię jeszcze poniosą
chrabąszcz uczesze włosy

Zapewnienie

Warto na czole pod czołem przed czołem
mieć takie miejsce
gdzie można trochę pożyć
między ósmą a inną
rano wypić mleko i wieczorem pacierz
do Stróża pożerać palcem
u nogi kiwa tobie
oczołomamionemu

Z tomiku „Biały wartownik”

* * *

/ Słońce przymyka swoje starcze oko. Na łąki wychodzą lisy.
Pasy mgły jak białe bandaż. Koło stogu świeżego siana stoi
Japończyk. I fotografuje./

Jeżeli ty mnie nie chcesz
to ja nie chcę ciebie.

Krajobraz którego nie lubiłam
za niezmiennność

wydawało się wtedy że nic się nie zmieni
garbaty most na rzece
dwie brzozy u bramy
ani wieś Pyrzany

czerwone narośla plotek
wieś polska
obojętne małe miasteczka

/Ona wraca po latach. Tak dziwnie zmieniona.
Jej węzowa skórka – ręce. I nagle głos otwiera jak szeleszczący
jedwab spódnicy. Dwa lazury nieba – dwa bagaże. Głos sztyletu.
Aria. Oszałała w wielkim mieście. Nie zawsze chce pamiętać,
ale pamięta. Nie tęskni, albo tak jej się wydaje. Matka (z imie-
nia) wszelkich słabostek, faryzeuszki wdzięku. Co roku wraca na
miejsce poczęcia. Nadziwić się nie może./

wieloryby ściętych topoli
białym brzuchem do góry

ptaki nad Wartą
biją skrzydłami

niemieccy turyści z lornetkami Zeissa
w szklanej wieży
jak na swoim

ta łza
nie do takiego celu trafiła

Rzeka

- Uśpiłam psa. Był stary i chory.
Tak dziwnie na mnie patrzył. Jego białe oczy...

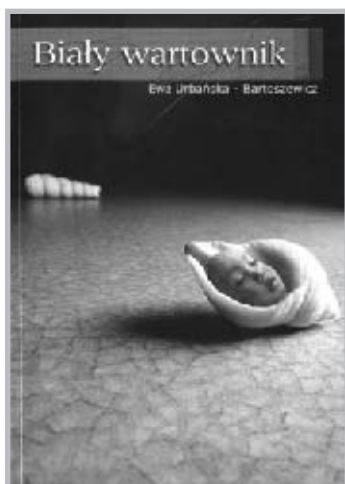
A teraz wielokroć rzekę brodami przechodzę
i siedząc na kamieniach u brzegu
śledzę podwodne prądy
wróżę z kręgów po nagłym splawianiu się ryby

w trzcinach zostały szare łuski na szczęście
ślady nocnych ognisk
foliowe torebki po zanętach i przerzutywach
w popiele

niekiedy z białego domu za zakrętem
dopływa muzyka.

Chyba się je podchodzi
zanęca i kalecząc łowi
całuje w pyszczek i wypuszcza do wody
to życie tę miłość

a później
szybkie machnięcie ogonem
krótki błysk nad powierzchnią
i brudny ślad za paznokciem



Tequila Sunrise

Diego
dopiero co zaczęliśmy
lepić z gliny czerwone donice

wszechobecny rdzawy kolor
jak piasek osiadł nam na twarzach

czasami gapią się na nas
rude zdziczałe psy

nasze umazane żółcią ręce

leniwie rozmawiamy
o sprawach pierwszych i czystych
jak delfiny

o zaufaniu w niebieskim kolorze
miłości która gdzieś jest
ale nie w nas

czule i delikatnie głaszczemy glinę
tak samo patrzymy na siebie
i na swoje czerwone donice – urny

Zbigniew Jerzyna

PASJA W USPOKOJENIU

Ewa Bartoszewicz swój nowy tom skądinąd rewelacyjnych wierszy opatrzyła tytułem „Biały wartownik”. Domyślam się, co znaczy ten tytuł, ale do końca nie chcę wiedzieć.

Jedno można powiedzieć: biały wartownik strzeże jakiejś ostatecznej prawdziwości tych wierszy, które powstały z głęboko przeżytego życia i z wnikliwego myślenia o nim.

„Biały wartownik” podpowiada poetce, że wszelakie złudzenia nie są warte zachodu. Najważniejsza jest „istota rzeczy”, sam „fakt życia” bolesny i olśniewający, wyższość Bytu nad Niebytem. (...)

Przy całym „chłodzie poznania”, surowości osądu siebie i innych – jest to poezja wyjątkowej żarliwości. Dlatego tak często mocny i dobywający się z „musującego życia” głos Dionizosa zagłusza anielski śpiew Apollina. Przy wielu zabiegach „uspokojenia żywiołów”, ich czulego ukołysania – poezja Ewy Bartoszewicz z gruntu ma bardzo dramatyczny wymiar. Z całą odpowiedzialnością mogę ją na zasadzie równorzędności przyrównać do Sylvii Plath.

Te wiersze mówią o najważniejszych sprawach człowieka. O potrzebie miłości, potrzebie akceptacji przez drugiego człowieka i zrozumieniu, o samotności, tęsknocie za Transcendencją czy wreszcie o nieustających próbach znalezienia swojego miejsca na Ziemi.

I o śmierci, o której tak odważnie pisze poetka, że należy „odebrać jej triumf”. (...)

Mógłbym spróbować wyróżnić jakieś szczególne wiersze w tym zbiorze. Ale to trudne zadanie. Bowiemy tych wierszy wspomniał, które są najprawdziwszą poezją, jest bardzo dużo. Jednak wymienię utwór zaczynający się od zdania: „I znowu zagłada tu suka depresja”. Wymieniam, bo to bez wątpienia – wielki wiersz. Czy dalej: „Koła roweru tną asfalt” albo „Śniadanie na trawie”. Jeszcze zacytuję w całości wiersz „Dwa czarne psy i osoba”, który uważam za doskonale skomponowany:

*Miejska cisza
do której się wchodzi w złotych butach
po drabinie snów z klocków lego*

*Chmury.
Wiatr przywiał zapach strachu
uformował w stożkowaty kształt
pokazał i zniknął*

*tylko mała trąba powietrzna
śmieci i piach*

*po ulicy wałęsają się czarne psy
i osoba*

Osobny rozdział tego tomu to cykl wierszy o powrocie do ziemi dzieciństwa, do źródła, do genius loci. Szczęśliwość miesza się tu z tragicznymi wspomnieniami: „Błękitną aleją rzeki / płyną trupy moich przyjaciół ze szkoły”. Na marginesie dodam, że poetka nierzadko stosuje takie drastyczne obrazy. Ale to tylko świadczy o wyrazistości jej poezji. W powrocie do rodzinnej wsi są też kłopoty z naszą krzykliwością i często tandetną cywilizacją, która nachalnie tam wtargnęła. Całą topografię tamtych stron najlepiej oddaje utwór pt. „Wieś Świerkocin w lecie i ja na obrazie Chagalla taka malutka”. Mimo zamilowania do demistyfikacji poetka w tych powrotach z czułością przywołuje obrazy: „garbaty most na rzece / dwie brzozy u bramy”. A tak w ogóle Ewa Bartoszewicz nie porusza się tylko w ciemnościach i wątpieniu, nie podziela powiedzenia filozofa, że tak beznadziejnie zostaliśmy „zruce-ni w Byt”. Ona namiętnie kocha życie i w jej wierszach jest dużo światła. Do końca i pomimo wszystko akceptuje świat. Ale pod jednym warunkiem, że zostanie on odarty ze złudzeń, a życie zawsze będzie blisko prawdy. A w to wszystko jest też wpisana jakaś „trudna nadzieja”. Oto zakończenie wiersza pt. „O białej godzinie”:

*Nie zamilknę w nagłym przypadku
gdzieś jeszcze jest życie. Gdzieś jest.
Czekam za rogiem.*

Aneta Gizińska-Hwozdyk

ARES Y ŻYĆ BĘDĄ WIECZNIE...

O psach można mówić nieskończenie. Miałam ich wiele, każdy był zupełnie inny, miały jednak dwie właściwości wspólne: potrzebę kochania i wysoko rozwinięte życie psychiczne, które sprawia, że potrafią cierpieć nie tylko od zimna i głodu.

Irena Dowgielewicz

Nieustannie przekonana była do perspektyw. Bywały różne... Każda z nich przedstawiała inną rzeczywistość. Łatwo było to sprawdzić metodą lustra. Gdy stawało się przed lustrzaną taflą w blasku dnia, było się zwykłym błędym stworzeniem. Kiedy zablądziło się przed oblicze lustra o zachodzie słońca, już tkwiło się w żółto – pomarańczowej poświacie rodem z baśni. Wiatr poruszający o zmroku koronami drzew za oknem mógł stworzyć obraz surrealistyczny w lustrze, całkiem odrealniony, z dużą domieszką krech, kresek i kreseczek – wielkich, większych i największych, które drgały, falowały, wykrzywiały oblicze w grymasy i układały w uśmiechy. Słońce zza poruszanych wiatrem drzew czyniło cuda i czyniło wszystko z twarzą. Dopiero wtedy można było się przekonać, jak niezwykle ubogi posiada się zasób min, które są zresztą tak bardzo podobne, że bez pomocy wiatru za oknem nic by już nie znaczyły.

Perspektywa nocy była inna. Narzucała głowie aureolę gwiazd lub nimb księżyca. Chciało się płynąć pod prąd ciemności ku jasnościom tylko na pozór ciemnego nieba. Chciało się wzlecieć jak najwyżej, by dostrzec cokolwiek. Chciało się osiągnąć złotej kuli lub pohuścić na huśtawce rogolika.

A czasami chciało się wręcz wyć... Do tej kuli, do tej największej na świecie pełni. Nad tym światem...

* * *

Ale tutaj nie było lustra. Jedyne, co łączyło ją z tamtym światem – to perspektywa. Stąd miasto wyglądało spokojnie i nawet nie warczało. Po moście, gdzieś tam, w oddali – przewały się cielska żukowatych samochodów. Mrugały otwartymi ślepiami reflektorów, lecz tu nie były wcale groźne.

Wolno poruszyła łapą. Poprawiła obrożę na szyi. Dzisiaj jest pssem – ratownikiem. Czyha na warczące żuki sunące mostem. Jest po to, aby w razie czego pomagać.

W lustrze wody psi pysk wygląda trochę ludzko. Rzęsy zahaczają raz po raz o ucho, co utwierdza ją w przekonaniu, że uszy należałoby podciąć, a sierść nieco przygładzić, może uprzednio trochę przeredzić...

Znowu perspektywa... I jej ulubione zajęcie... Dzwony na kościele po drugiej stronie rzeki wybiły właśnie południe. Po rzece płyną ku niej pierwsze dźwięki hejnału miasta. Żukowate na moście nawet warczeć przestały. Jakby wszystko nagle znieruchomiało w majestacie tej południowej ciszy przerywanej dźwiękiem melodii.

Wtedy z krzaków nieopodal rzeki wyszedł ON. Ubrany w ciemnozielony dres z białymi paskami. Dziwnie znajomy ten dres... I ta twarz... Trzymał wędkę. Niósł ją trochę niezdarne. Wędkarz nakładał nową przynętę na haczyk. Nagle dostrzegł ją. Rude futro odznaczało się wśród rachitycznej nadrzecznej trawy wypalanej słońcem zbyt upalnego lata. Zrobił kilka kroków. Zamarła. Choć przecież nie wyglądał na nieprzyjaciela. Zwierzęta nie uprzedzają się do ludzi. Merdała ogonem. Podniosła łeb. Ucho ponownie zahaczyło się o rzesę. Zdawała sobie sprawę, że może to być nieco filuterne i szelmowskie zarazem, a w jej przypadku – nawet kokieterijne...

Przez moment wykonał taki gest, jakby ją chciał złowić na haczyk. Wzdrygnęła się. Niejedno w życiu widziała i nie pozwoli! Ze-

rwiała się na równe łapy. Jedno krótkie szczeknięcie zazwyczaj odstrasza. Nie, tym razem się nie udało. Odważnie szedł w jej kierunku. Już tylko kilka kroków. Jeszcze... I jeszcze... Krok. Wędka... Haczyk...

– Poszedł stąd! Warknęła jak żuki na moście.

– Poszedł! Ty przybłędo!

Przysiadła na tylnych łapach. Ogon drgał jej delikatnie, nieco nerwowo – jak wtedy, gdy dostrzegała cel i sens podejmowania złych psich działań.

– Uciekaj! Ryby mi przyszedł wyżyć! Pójdiesz stąd!

Jej wzrok padł na siatkę leżącą u brzegu. Trzepotała się tam mała rybka, której była potrzebna pomoc. Jest za mała, by skończyć żywot w tej siatce. Jak to się stało, że wcześniej nie zauważyła tej ryby? I naraz... Zupełnie jakby wbrew sobie rzuciła się na brzeg rzeki i wyszarpnęła zębami zahaczoną o coś siatkę. Ryba zgrabnie chlupnęła w głąb rzeki.

Słyszała za sobą oddech człowieka. Biegł prosto na nią wygrażając pięścią: – Wredne psisko! Głupia suka! Uciekaj stąd! Sio!

Biegła co sił w łapach, biegła w kierunku cywilizacji. Teraz tęskniła już do miasta pełnego warkotu i huku, przewalających się tramwajowych cielsk i autobusów o swojskim kształcie jamnika. Gdzie bój trzeba stoczyć o każdą kość i każdy zaułek.

Chociaż wiedziała, że nie jest bezdomna. Miała przecież obrożę – symbol dawnej świetności przodków. Miała gdzieś tam – w tym upale – swoją panią. No i rzeczywiście była suką...

* * *

Poranek w lustrze dodawał jej błękitu. „Jak anioł” – przemknęło jej przez myśl. Wiedziała, że chodzić będzie z głową w chmurach i dobrego nastroju nikt nie będzie w stanie zburzyć. Zmierzyła ręką burzę rudych włosów i nieco kokieterijnie zatrzepotała długimi rzesami. To jest to! Jakie to ważne sprawy ma dzisiaj do załatwienia? Dzisiaj osiągnie wszystko! A jeszcze kilka godzin temu chciała wyć do księżyca z rozpacz. Wyć naprawdę do tej odwiecznej pełni nieszczęść.

Poranek napawa nadzieją i dodaje otuchy. Nic nie jest straszne u zarania dnia, kiedy nic o nim jeszcze się nie wie, więc przynieść może wszystko, na cokolwiek czekamy. Uparcie w to wierzyła.

Stary wilczur – Ares dokładnie obwąchał ją przy wejściu. Wiedziała, dlaczego. Często ukradkiem przynosiła mu smakołyki. Wie, co pies lubi. A on jest jej za to wdzięczny. Szkoda jej tych wszystkich psów na smyczach, z pozatykanymi na amen pyskami w kneblach kagańców. Dobrze, że nikt nie wpadł na pomysł, aby wiązać psom ogony. To też mogłoby przynieść dużo pożytku. Zatrzęsła się na myśl o związanym psim ogonie. Dobrze, że właściciele psów mają w sobie coś szlachetnego. Ta ludzka szlachetność pozwala przeżyć ich pupilkom w tym wielkim mieście. Na przykład Ares – sąsiedzi wypowiedzieli wojnę jego typowo psiej przypadłości – kopaniu dziur gdzie popadnie.

Jeszcze raz pociągnęła usta pomadką. Lubiła tę chwilę. Pół godziny do rozpoczęcia pracy. Można spokojnie pomyśleć o dniu, przejrzeć gazetę. Za chwilę zaczną schodzić się ludzie. Jeszcze piętnaście minut dla siebie.

Jadźka... O nie! Dlaczego ona pierwsza? Jadźka nie była nigdy ani specjalnie subtelna, ani szczególnie sympatyczna. I do tego ta skłonność do plotkowania... Nigdy nie przychodziła tak wcześnie. Czyżby miała jej „coś szczególnie ważnego” do powiedzenia?

– Dobrze, że jesteś. Wiesz, muszę z tobą pogadać. Póki nikogo nie ma... – głos Jadźki nie wróżył nic dobrego.

– Co się stało? Jakież problemy w naszej firmie czy co?
 – Nie, ale to dotyczy ciebie. Wiesz, zaczynają już gadać, że jesteś jakaś dziwna.

– O, a to dlaczego?

– Wiesz, niby podobasz się mężczyznom. Nawet ten nowy z księgowości ma na ciebie oko. Ale powinnaś coś w sobie zmienić.

Siedziała zaszuchana. Może i miała za złe Jadźce jej skłonności plotkarskie, ale teraz to mogło być ciekawe...

– ...i te farbowane na rudo włosy. Kto dziś tak się czesze? I te zbyt mocno pomalowane rzęsy...

Głos Jadźki płynął, płynął, płynął. Może już nawet nie chciała słuchać?

– ... poza tym takie aksamitne obroże na szyję już nie są modne. Kto takie nakłada? Tylko ty. I to codziennie! Jak jakiś... pies! Kup sobie coś modnego, wyjdź z nami gdzieś po pracy. Zaczniij żyć! Naprawdę. Wiesz, ten nowy z księgowości podobno uwielbia łowić ryby. Może byście się kiedyś umówili... Lekkie, delikatne warknięcie znad szklanki przerwało nagle monolog Jadźki.

– Co mówiłaś? – Jadźka chciała wiedzieć.

– Nic. Tak sobie warknęłam. Jak jakiś pies! Wiesz, mam to od dawna. Nie domyśliłaś się? Ty, która na wszystko zwracasz uwagę?

– Nic ci nie można powiedzieć. Uwaga! Przystojniaczek z księgowości. Jeszcze raz warknęła. Nie wzbudzał jej sympatii. I do tego to uwielbienie dla koloru zielonego...

* * *

W wieczornej perspektywie lustra pojawiła się jakaś czerwona pręga. Nigdy wcześniej takiej nie widziała. Znajdowała się po obu stronach jej głowy, jakby narzucając coś na kształt kainowego piętka. Może to zabijanie siebie, o którym tak eufemistycznie opowiadała kiedyś Jadźka? Ale Jadźka nie wie, że to może być całkiem inne piętno. Nie chce siebie poznać i dlatego się katuje?

Delikatnie odpięła brązową tasiemkę z aksamitu, którą miała zawiązaną u szyi. I jeszcze jedna czerwona pręga – tym razem na szyi. Nie jest stworzona do noszenia obroży? Srebrne oko z aksamitki mrugnęło do niej leniwie. Zamknęła je wiekiem szkatułki.

Teraz czuła się prawdziwie wolna. Jej przestrzeń, jej przedpokój, jej buda, do której jest przywiązana. Ciągłe to niezmiennie uczucie, że to jeszcze nie wszystko, że dużo więcej musi z siebie wydobyć. Ale co? Na pewno były różne światy. Czasami zupełnie do tego tu i teraz nie pasowała. Ale to może tylko jakieś nierealne marzenie, które jej pozostało z dzieciństwa? Może to ono odrywa ją od codzienności i każe wielbić poranki. Bo przecież są jeszcze sny, po których budzi się złana potem, niespokojna, chciwie pije wodę i od razu, bez namysłu, chwytą po aksamitną obróżkę, nakłada ją na szyję i dopiero wtedy czuje się wolna, dopiero wtedy powraca.

Ale ta noc będzie inna. Dzisiaj nie zaśnie. Będzie spoglądać w niebo długo i chciwie. Aż ujrzy... Nawet jeśli cokolwiek odbije się w lustrze, nie uwierzy mu. Jej lustro nie odbija prawdy – była o tym przekonana. Oto wschodzi gwiazda w górnym rogu lustra. Tam! Na niebie. Nagle spokojnie, z górnej ramy wypływa księżyc. Łączy się z jej twarzą na moment, na chwilę, ale to wystarcza, by zaczarować. Już zdobyła aureolę gwiazd, już posiadała nimb księżyca, już płynię w przestrzeń. Uśpione miasto oddala się. Blisko cykają świerszcze. Była w niebie. Jest tuż przy ziemi.

* * *

Czujnie obwąchuje plac zabaw. Zabłąkany kot czmycha w piwniczne okienko. Nie będzie gonić. Ma co innego na oku. Mały wróbel oderwał się w przerażeniu z oparcia karuzeli. Boją się. Wszyscy się boją. Z nosem przy ziemi poznaje teren. To tu. Wilczur Ares przejechany przez ciężarówkę. Tak, właśnie tu za życia zakopał kość. Jedno machnięcie łapą, drugie. Gdzie ona może być? Przecież tu. Właśnie tu ją czuje. Gdzie ona może być? Już blisko. Węch. Przerazający

węch, który wszędzie zaprowadzi. Zgubi, ale zaprowadzi do celu. Węch zgubił Aresa. Biegł po piłkę tamtego chłopca. Ares nie widział, Ares nic nie wiedział, niczego nie przeczuwał. Psy ufają ludziom. Chłopiec rzucił piłkę specjalnie pod tamtą ciężarówkę. Ares tylko czuł. Czucie, które tak bardzo zniewala w tym wielkim mieście. Czucie, być czujnym, czuć, czuć. Rodzina. Wielka rodzina miejskich wyrazów tak ich połączyła.

Jest kość! Biała jak tamta z łapy Aresa. Wygląda identycznie. Do tamtej bała się podejść. Tę zabrała. Nieść ciężko. Ona przecież nie jest wilczurem. Z tej klatki schodowej właścicielka – taka staruszka jak Ares – wyprowadziła go na ten ostatni spacer. Kopie łapami. Głębiej. Jeszcze głębiej. Jeszcze. Musi być głębiej. Zawsze trzeba zakopać jak najgłębiej, aby nikt nie odnalazł. Tak każe instynkt. Zakopana kość Aresa jest już jej kością. Połączyła ich na zawsze. Wyje przez chwilę nad tą zakopaną kością.

Co to? Śmiech, wrzask i wybuch śmiechu. Dziwnie boli ogon. Co się dzieje? Ucieka. Biegnie przed siebie. Słyszy kroki i czuje. Czuje, że trzeba uciekać. Czuje swąd palonej sierści. Zapach, który boli. To ten zapach! Kuli przypalony ogon. Zatrzymuje się pod jakimś dachem. Liże ogon, wygryzając nadpalone kawałki sierści. Echo niesie spomiędzy bloków: „Su–ka! Ty głupia suko!”

Liże łapę. Co to? Jakiś gwóźdź. Musiała wbiec na coś. Wygryza zębami. Gwóźdź jest mały, ale tkwi głęboko. Łapa krwawi. Ucho znowu zapłatało się w obrożę. Zwija się w kłębek. Teraz boli łapa, ale ogon też boli. Gdzieś tam w głębi rudego kłębuszka jest serce. Wyrwa się na wolność. Tak rwie się, że też zaczyna boleć. Może gwóźdź przebił serce, bo dlaczego boli? Gdyby wszystkie gwoździe, które wbijają się w psie łapy, mogły stać się wielką srebrną lub choćby nawet zardzewiałą kością. W samej kości nie ma już nic złego. Kość z łapy Aresa leżała na jezdni i wtedy wszyscy byli zadowoleni, że ta kość nie wykopie więcej żadnej dziury na podwórku. Widziała, jak staruszka tuliła łeb Aresa. Mogłaby nawet umierać, żeby tylko ktoś wtedy przytulił jej łeb. Jeszcze przez moment liże obolałą łapę.

Nagle ucieka ciemność. Świat jest pełen psów. Są wesołe. Biegają po łące. Słońce liże im sierść. Tarzają się. Łapią promyczki. Aportują i znoszą je na stos jak kości. I mogą szczeleć do woli. Pościągano im wszystkie kagańce świata. Psie pyski śmieją się do słońca. Skrzy się stos łańcuchów i skórzanych smyczy. Wprost ze słońca biegnie duży wilczur. Ma zdrowe łapy i zachowuje się jak szczeniak. Mały, radosny szczeniak. Coś trzyma w zębach. A jednak odnalazł swą kość! Wygrzebał spod klatki schodowej i zabrał do psiego rajku.

* * *

Otwiera oczy. W lustrze jest już teraz tylko lustro. Nic więcej. Tafla odbija niebo. Wiatr lekko porusza gałęziami drzew, a księżyc odpłynął gdzieś w chmury. Pozostaje ciemność. Nic nie przeoczyła. Za oknem czas się nie zmienił. Uśpione miasto ciężko oddycha. To nie jest spokojny sen. Gdzieniedzie skrzypi poruszana wiatrem huśtawka. W oddali przejeżdża samochód, nad głową przelatuje samolot czasu. Gaszone w oknach światła dają znaki ulicznym latarniom, które podnoszą głowy i już teraz spokojnie, bezkonkurencyjnie zaczynają rządzić. Cmy świętują triumf latami pod ich czujnym okiem.

Nagle oko latami zauważa jakiś kształt pod murem. Jak porzucona torba podróżna. Rudy tłumoczek porusza się. Zaczyna siąpić deszcz. Rudy tuli się jeszcze bardziej.

Winda skrzypi niemiłosiernie. Nocą wszystkie windy ożywają utyskują na swój nędzny los, jęczą łańcuchami, z większym hukiem i niechętnie otwierają drzwi i poruszają się wolniej. Wybudzone z tego niezdrowego miejskiego snu pragną zemsty, ale skute łańcuchami nic nie mogą zrobić. Piaskownica, plac zabaw, mur bloku.

W stronę miasta idzie, lekko utykając, torba podróżna — pies. Niesie swój nadmiar rudej sierści, falujące na wietrze uszy, obolałą łapę i sen o psim rajku. Ten bagaż ciąży nawet wtedy, gdy jest się radosnym małym psem, gdy chce się szczeleć ze szczęścia, że trawa

łaskocze, gdy gania się muchy i wróble, gdy ucieka się przed zwarionym pluszowym lwem z wystawy, a on nie jest groźny. Tylko rano. Bezdomny pies boi się nocy.

– Rudy, poczekaj!

Nie znalazła księżycy. Gwiazdy gdzieś zginęły. Wróble zasnęły ukryte głęboko w gniazdach. Koty włamują się do piwnic. Łapa za łapą. Nos opuszczony do ziemi, aby mimo wszystko czuć. Można stracić wiele, ale nie to czucie. Co to?

Coś znajomego wiatr przywiał z tamtej strony. Jakiś zapach...

– Rudy, poczekaj...

Odwróciła łeb. W świetle latami dostrzegła, jak wiatr rozwiewał rudą sierść. To nie jej sierść! To jej sierść? Ktoś jej zabrał sierść!?

– Rudy, poczekaj. Chodź do mnie. Napijemy się herbaty i pogadamy. Nie bój się....

* * *

– A więc wydaje się pani, że jest pani psem... Hmm...

Lekarz był najwyraźniej niezwykle zaskoczony jej przypadłością. Nie lubiła słowa „wydaje się”. Powinien był już wiedzieć, jakie słowa lubi, a jakimi gardzi. „Wydaje się”! A więc ma omamy, halucynacje, przywidzenia. Klasyczny przypadek dla psychiatry. On zawsze przecież zaczyna od „wydaje się”...

Z dumą poprawiła obrozę na szyi. Tak... Ta jej duma była największym atutem całego życia. Ceniła tę swoją odmienność i inność. Choćby nawet inni pogardliwie mówili: „Odmieniec!” Dla niej to powód do dumy.

Lekarz najwyraźniej przeżywał jeszcze większe rozterki. Próbował dopasować do niej jakiś naukowy model, jakiś wzór, coś, co pomogłoby znaleźć wspólny mianownik chorobowy. Raz po raz nerwowym gestem gładził krótko przystrzyżone włosy i przecierał okulary. Łagodnie uśmiechała się. Nie chciała przysparzać temu człowiekowi tak wielkiej męki myślenia. Nawet przez moment zamarzyło jej się zostać „klasycznym przypadkiem”, aby to wszystko miał już z głowy.

Po raz nie wiadomo który drażył uparcie:

– Od czego to się zaczęło?

Wcale nie mógł zrozumieć, że to się nie zaczęło, że to było i jest. Tylko że ona wcześniej o tym nie wiedziała. Badała ją wszechwiedzącym wzrokiem ukrytym za okularami, starał się przesyć jej psychikę, wejść w głąb, zmierzyć się z tym psem nieszczęsnym, z tą suką przekłątą. Może odprawić psychiatryczne egzorcyzmy, może wypędzać, może poszczuć psami, może...

Ostrzegawczo warknęła. Nie czuła się tu dobrze. Jakby uwięziona w klatce, wielkiej klatce, z malutkim oknem, trzema ścianami, bez drzwi, bez klamek, a jednak pod czujnym okiem. Kozetka, biurko, krzesło, regał pełen książek, w których nikt nie napisał ani słowa o psach. Schronisko dla bezdomnych zwierząt, w którym nie odnajdzie siebie. – Proszę na mnie nie warczeć. Proszę lepiej krzyczeć lub mówić, ale nie warczeć...

Lęk, tak – to był lęk. Nie lubiła, gdy ktoś się jej bał. Nie chce uczynić krzywdy, żadnej krzywdy, choć lęk człowieka wywołuje odczucie triumfu. Lęk Jadźki, gdy zobaczyła po raz pierwszy, jak z zapalem liże ranę na dłoni przeciętej kartką. Lęk tamtego chłopaka, na którego warczała i szczekała, gdy ganiał bezdomnego kundla. Lęk tego lekarza, który przyglądał się skórzanej obroży na jej szyi i ukradkiem zerka na wystający z jej torebki kaganiec.

Zaledwie kilka kroków ich dzieli. To biurko, metr, może trochę więcej... I już... Mógłby wtedy przeistoczyć się w psa. Mogłaby prowadzić go na spacer, umieścić mu pysk w kagańcu, by więcej nie wygłaszał swych psychiatrycznych teorii. Byłby całkiem spolegliwym i stawianym za wzór pieskiem. I miałby swoją panią. Nie każdy pies ma swoją panią. Temu dane byłoby od życia prawdziwe szczęście. Może ulizany jamniczek? A może wyżeł na chudych łapach? Byłby świetnym psem, życiowym kompanem, przyjacie-

lem i obrońcą. Ostatecznie czasami zdejmowałaby mu kaganiec, odwieszała smycz, pozbawiała go obroży i nakładała mu kaptcie na zmęczone łapy. Najmilsze byłyby chwile, gdy kładłby łeb na jej kolanach. Mogłyby nigdy się nie kończyć. Zrobiłaby mu sweter w geometryczne wzory, pomiędzy które wstawiłaby głowy kotów. Kupiłaby mu pled beżowy w duże czarne ślady psich łap.

* * *

Skończyła opowiadanie. Obok, zwinięty w kłębek, w swej za dużej flanelowej piżamie, spał pan. Równiutko ułożone kaptcie otworzyły szeroko, jakby ziewając, swe paszcze. Przerywana tykaniem zegara, mimo wszystko głucha noc, na dobre zagnieżdziła się w pomieszczeniu ukrytym za kurtyną ciemności, w wielkim blokowisku bez tożsamości, twarzy, z tysiącem błakających się po dachach kotów i psów wyjących co noc serenadę do księżycy.

Jest tylko ten pokój we wszechświecie – z nim zwiniętym w kłębek.

W kącie poruszyła się Ruda. Czarnym okiem łypnęła na uspioną rzeczywistość. Rozprostowała łapę, prawie karmiąc nią wpółotwartą paszczą ziewającego kaptcia. Ucho zasłoniło jej to otwarte na moment oko, więc już świadoma trwania nocy, powróciła gdzieś do swego świata.

* * *

Rano odbije rzeczywistość wystawioną na pokaz w odbiciu lustra. Ujrzymy pana przy kuchennym stole. Zobaczymy panią poprawiającą raz po raz burzę rudych loków. Dostrzeżemy rudego psa cichutko popiskującego z radości przed spacerem.

Realizm lustra będzie doskonalszy niż zmyślenie. Na tym polega jego wielkość. Świat odwrócony poprzez oblicze – co najwyższej wywyższy człowieka do rangi psa lub zdegraduje psa do rangi człowieka.

A w innym wymiarze lustra żyć będą wiecznie Aresy oraz rude, bezimienne psy, które ciągle szukają domu. Zawsze dopatrzmy się ludzi w ciemnozielonych dresach. Ujrzymy dzień i noc, a pośród nich zawsze siebie: uwikłanych w codzienność, lecz niecodziennych – z marzeniami, pragnieniami, skrywanymi lękami. Zobaczymy to, czego na co dzień nie widać.

W mieście dużym jest luster mnóstwo.

Aneta Gizińska-Hwozdyk

Tadeusz Szyfer

Epitafia

Grabarz

Dołki kopał wiele lat
Wreszcie do jednego wpadł!

Zasłużony odpoczynek

Zdejmijcie czapki z dała – spójrzcie na ten grób:
Tu leży od żłobu oderwany żłób!

Grób parlamentarny

To jest grób znamienny skutecznego posła!
Tak rył pod innymi, aż pod ziemią został.

Klepsydra szewca

Niech pamięć o nim w żal będzie spowita,
Odszedł – nie jego to wina,
Po ciemku nie te wyciągnął kopyta!

Pogrążona w smutku Rodzina

Nagrobek bliźniaków

Śmierć ich była chwalebna i liczne zasługi.
Jeden zginął od szabli, a od pochwy drugi!

CIESZĘ SIĘ CUDZYM SUKCESEM JAK WŁASNYM

Marek Kierus rozmawia z kolegą satyrykiem - Ferdynandem Głodzikiem

W zaprzyjaźnionym jesiennym ogrodzie, wśród dojrzałych jabłek i soczystych kiści winogron, spotykam Freda Głodzika, bardzo cenionego i lubianego gorzowskiego poetę i satyryka, bardzo płodnego autora tekstów literackich tak rozmaitych jak otaczające nas owoce, kwiaty, warzywa i – niestety – wszędzie bujne chwasty. Korzystam z okazji, aby zadać kilka pytań i dowiedzieć się, co naprawdę w twórczej duszy Freda brzmi...

Od czego zaczęła się Twoja pasja pisania?

– Jak chyba wielu nastolatków i ja chwytałem się pisania. Te moje pierwsze próby zakopane są głęboko w domowych zakamarkach, aby broń Boże nikt ich czasem nie próbował czytać. Zarzuciłem pisanie na długie lata. Zainteresowanie poezją zaszczepiła we mnie mama, potem doszły zainteresowania satyrą. Z radością uczyłem się na pamięć wierszy Mariana Żałuckiego, Ludwika J. Kerna, Włodzimierza Ściśłowskiego, nawet monologów Jerzego Ofierskiego – popularnego Kierdziolka i innych autorów. Teksty nadające się do publikowania zacząłem pisać mniej więcej pod koniec ubiegłego stulecia. A właściwie to kilka lat temu, gdy moja pozycja zawodowa i sytuacja materialna bardzo się pogorszyły – zatem pisałem satyry na bieżąco emocji negatywnych.

Czy początki pisania były trudne i skąd czerpałeś wzorce i natchnienie?

– Pierwotnym natchnieniem był świat polityki, nawet komentowanie epizodów z tej sfery. Przekonałem się jednak, że takie rewelacje szybko wietrzeją. Zacząłem sięgać do życia codziennego, postaw ludzkich (kury domowe itd.), chociaż świat polityki nadal mnie intryguje. Nie ze względu na moje poglądy, bo radykałem nigdy nie byłem, ale ze względu na fakt, iż ludzie, którzy – czasem przypadkowo i nieoczekiwanie – dostają władzę i przywileje, obnażają swoją prawdziwą naturę. Czując się bezkarni pokazują, jakimi są naprawdę, gdy wszystko im wolno. To niewyczerpalne źródło tematów do satyry. Lubię w pisaniu pokazywać kontrasty, różnice, skrajności, czasem z przesadą, z łgarstwem, nakreślonym wyrazistą grubą krechą. Obserwacja ludzkich postaw intryguje mnie od dawna. Czyniłem to niejako zawodowo, pracując w kontroli podatkowej, a także prowadząc zajęcia jako nauczyciel Hatha jogi w ramach swoich pozazawodowych pasji.

Jakie miejsce w Twoim życiu zajmuje twórczość i co dla Ciebie znaczy?

– Przede wszystkim chcę wyrazić siebie, dotrzeć do odbiorcy z tym, co mam do powiedzenia. Nie ukrywam także, iż piszę przede wszystkim po to, aby móc swoje wiersze publicznie czytać, uczestniczyć w programach poetyckich. Prawie od dziecka uczestniczyłem w występach artystycznych, deklamując wiersze. Mając nieco ponad 20 lat, pisałem nawet scenariusze programów kabaretowych – niestety – będące składanką cudzych tekstów. Miałem

pewien dyskomfort, że nie mogę mówić własnym głosem, ale w roku 2004 udało mi się napisać własny scenariusz kabaretowy i nawet w nim zagrać. Może coś takiego jeszcze mi się przytrafi.

Na co zwracasz uwagę, oceniając pisanie innych autorów?

– Przede wszystkim na oryginalność wypowiedzi, ale taką, która jest czytelna. Ważne też, czy tekst budzi emocje w czytelniku, czy go porusza, czy autor w budowaniu wątku zachowuje spójność i konsekwencję. Wreszcie, czy wiersz kończy się wyrazistą, mocną puentą. Nie polemizuję na ogół z poglądami autora. Ma prawo mieć inne niż ja, chociaż czasem zdarzają mi się i takie polemiki. Wyjaśniam swój punkt widzenia albo piszę o czymś, o czym autor ma prawo nie wiedzieć, a ja akurat wiem coś więcej na ten temat, chociaż przecież nie mam monopolu na wiedzę. Zawsze jednak dodaję, że to jego poglądy i jego wiersz i on decyduje o tym, co pisze i jak przemawia do czytelnika.

Jakie wartości cenisz najwyżej?

– Docieklivy jesteś. Nie chcę, aby moje późniejsze wiersze były czytane przez kalkę poglądów wyrażonych w tym wywiadzie, stąd wypowiem się oględnie.

Możę spokojnie powiedzieć, że stronię od wszelkiej maści radykałów. Polecam lekturę moich wierszy: „Dajcie mi wszyscy święty spokój” i „Bratni dialog”. Zaczynałem pracę zawodową w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, gdy idee budowy socjalizmu i umacniania przyjaznych więzi ze Związkiem Radzieckim były bardzo żywe. Dziś – myślę – z takim samym krytycznym dystansem trzeba patrzeć na zapalczywych budowniczych kapitalizmu łupanego. Pożytyłem ten epitet od Janusza Wajsa. Choćby nowobogackich pracodawców i nawiedzonych szefów upokarzających pracowników i żądających od nich morderczego wysiłku w trudnych warunkach, kosztem zdrowia, za psie pieniądze – na opak z przepisami BHP i elementarną przyzwoitością. Doświadczyłem tego osobiście. Jeśli mnie czytacie: panowie to wy jesteście odpowiedzialni za masowy odpływ ludzi za granicę w poszukiwaniu pracy. Wasza epoka skończy się szybko, niż myślicie i ja stary rep mam nadzieję tego doczekać. Mam swój program etyczny–moralny. Uważam, że ktoś, kto nie ma takiego programu, nie powinien pisać ani realizować się twórczo. Znamy niechlubne przykłady osobników, którzy przy pomocy wulgaryzmów lub innych ekstremalnych środków artystycznych w kiepskim guście chcą za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę. Choćby dziwacznie się ubierając czy ukrecając główki pisklętom w czasie programu... Okropność. Tak prezentuje się artysta, który nie ma nic ważnego do powiedzenia, a chce tylko, aby go zauważono. Chyba jako nikogo.

Czym dla Ciebie jest Joga? Pomaga Ci w pisaniu czy też jest czymś więcej – filozofią, drogą życiową?...

– Joga towarzyszy mi od kilkunastu lat.

Bratni dialog (I)

*Jesienną porą, szarą i mglistą,
Klerykał spotkał się z ateistą.
Zaczął klerykał w ogromnej skrusze:
Chcę ci dopomóc, byś zbawił duszę.*

*Rzekł ateista: kopii nie kruszmy,
Bo ja właściwie jestem „bezduszny”;
To z filozofii dawno wiadomo,
Że byt określa moją świadomość.*

*Potem milczeli przez sekund parę,
Gdy rzekł klerykał:*

*Chcę dać ci wiarę!
Lecz ten powiada: Próżne nadzieje.
Nie dawaj tego, co nie istnieje.*

*Odparł klerykał: Mamy dylemat:
Wy też dajecie to, czego nie ma.
Spojrzeli sobie głęboko w oczy:
Mamy się klócić, czy się zjednoczyć?*

*Jeden przed drugim stanął jak wryty
Czy byt jest jeden, czy są dwa byty?
Narozrabiali filozofowie:
Jak ma z człowiekiem
rozmawiać człowiek?*

*Analizują ciągle na nowo:
Ten – materializm, a ten – duchowość.
Jak to pogodzić – czy nam się uda?
Świat poznawalny i wszelkie cuda!*

*Tak przepijali dobrą godzinę,
Raz spirytusem,
raz mszalnym winem.
Patrząc jak rodzi się epokowe:
Dzielo dialogu: Spiritus movens.*

Bardzo pozytywnie i budująco podział na mnie przykład mojego pierwszego nauczyciela – gorzowianina do dziś, mimo zaawansowanego wieku, cieszącego się wspaniałą kondycją i poczuciem humoru. Joga to nie tylko sprawność fizyczna, to również rodzaj postawy wobec życia. Czytelnikom „Pegaza” przynoszę ze 195 jogasutr tę jedną:

*Ciesz się cudzym sukcesem jak własnym,
Martw się cudzym nieszczęściem jak własnym,
Ale zachowaj dystans wobec cudzego zła,
A osiągniesz spokój umysłu.*

Gdybyś mógł cofnąć czas, czy w życiu Freda zaszłyby duże zmiany? Jeśli tak, to jakie?

– Skupię się na jednej tylko. Pod koniec ubiegłego wieku zrezygnowałem z pracy państwowej i poszedłem do prywatnej firmy. Zaufałem ludziom, którzy nie byli tego warci. Zostałem oszukany i upokorzony. Z dołka, w jaki wpadłem z tego powodu, do dziś nie mogę się wygrzebać. Z tego prawdopodobnie wzięło się moje pisanie....

Nie będę tego tematu drążył, ale mimo tej przykrew sprawy odkryłeś w sobie jedną z najpiękniejszych pasji, zapisywania siebie, ludzi, czasu, rzeczy, miejsc, zdarzeń. Jakie jest Twoje zdanie na temat krótkich form literackich i dlaczego nie próbujesz dołączyć do gorzowskich fraszkopisarzy?

– Cenię bardzo gorzowskich fraszkopisarzy aforystów Tadeusza Szyfera i Jana Grossa. Rad jestem, że w tak prężnym urodzajnym środowisku pisarskim przyszło mi funkcjonować. Chyba nie dorastam ciągle do tego poziomu. Mam jednak inny nieco typ wrażliwości, inne potrzeby wypowiedzania się. Wspomniałem wyżej, że piszę głównie po to, by swoje wiersze publicznie czytać. Lubię dłużej porozmawiać z odbiorcą, wykreować wątek dramatyczny, aby go zakończyć nieoczekiwaną mocną puentą. Lubię pisać wiersze, w których coś się dzieje. Tak jak lubię czasem opowiadać dowcipy – niby to prawdziwe historie – w których rzekomo sam jestem uczestnikiem. Gdy przyjdzie mi jakaś trafna myśl do głowy – dopisuję do niej historię i robię z tego wiersz kończący się ową fraszką. Lubię krótkie formy czytać, ale czasem sporo w nich moralizatorstwa, pouczenia, nachalnego dydaktyzmu, itd. Oczywiście nie zawsze. Przy ich pisaniu łatwo chyba jednak ulec takim pokusom. Ja staram się czytelnika nie pouczać ani nie oceniać. Chociaż nie powiem, że mi się to nigdy nie zdarzyło.

– Co sądzisz o publikacjach w portalach internetowych? Wiem, że Fred jest lubianą i popularną osobą w sieci.

– Rzeczywiście Internet to wygodna i dość tania forma komunikowania się ludzi mających wspólne pasje i zainteresowania. Literackie fora internetowe to bardzo dobra forma doskonalenia warsztatu literackiego na różnym poziomie. Nie ukrywam, że sam sporo się w ten sposób nauczyłem. Mam wielu przyjaciół w Internecie. Niektórych z nich miałem przyjemność poznać osobiście. Niektóre z tych kontaktów zaowocowały trwałszymi więzami. Warto dyskutować, warto czytać innych, komentować. To nauka, to także zabawa, to wypełnienie czasu w bardzo pożyteczny, twórczy sposób. Myślę jednak, że nie powinno się poprzestawać tylko na edukacji internetowej. Trzeba dużo czytać i to dobrej literatury. To podstawa.

– Mam wiele rozpoczętych tematów i realizuję je niejako równolegle. Jest ich tak dużo, że nie wiem, czy ten katalog będzie się jeszcze

Bratni dialog (II)

*Aby różnice postaw pogodzić,
Zaczęli sobie wzajem dowodzić
Zanim ich senność wzięła w ramiona
Jeden drugiego zdołał przekonać.*

*Panu Wszechczasów
niech będzie chwala
Rzekł ateista do klerykała
Dusza wzbogaci me życie liche
Przywdzieję habit, zostanę mnichem.*

*Klerykał sięgnął zaś do kredensu:
Moja religia nie miała sensu*

*Wznoszę ten toast wódeczką czystą
Od dzisiaj jestem materialistą.*

*Rzekł ateista – wiele nas różni
Lecz cię zaklinam: Bracie nie bluźnij!
Kiedy z butami stanę już w niebie
Codziennie pacierz zmówię za Ciebie.*

*Klerykał odparł: Słuchaj rozumu!
Religia to jest opium dla tłumów
Odtąd nie wierzę już w żadną duszę,
Ja ją myliłem ze spirytusem.*

*Kończy się akcja "uświadamiania",
Każdy się mocno na nogach stania
Kładą na stole dwie ciężkie głowy,
Bez inkwizycji, wypraw krzyżowych.*

*Już zaniechali dyskusji wszelkich.
Przed nimi stoją puste butelki.
Szary świt wstaje, emocje bledną
Już im zupełnie jest wszystko jedno.*

Ferdynand Głodzik

poszerzał. Zamierzam żyć długo i szczęśliwie i chciałbym to wszystko pokończyć. W planach mam wydanie książki poetyckiej w przyszłym roku. Kontynuowanie serii wierszy o imionach; jest ich obecnie około 30, jak dojdę do liczby choćby 60, wydam taki kalendarz imion. Kontynuowanie „opowieści rycerskich” opisujących działania twórcze RSTK. Na razie jest ich pięć, będą pewnie następne. Nawiązałem ostatnio współpracę z kompozytorem zamieszkałym we Włoszech – Lucjanem Wesołowskim. Napisałem już kilka wspólnych piosenek. Niektóre z nich można odsłuchać na stronie www.rstkgorzow.pl w dziale sekcji muzycznej. Próbuje pisać bluesy. Nie wykluczam współpracy z zespołem kabaretowym, gdyby pojawiła się taka propozycja. Jestem na to otwarty i chętny. Piszę też wiersze liryczne. Chyba każdy kpiarz chce być czasem traktowany serio i pragnie nie tylko bawić, ale i wzruszać.

Dziękuję, Fred, za szczerą wypowiedź...

Ferdynand Głodzik

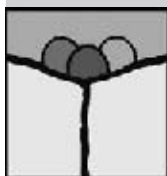
Ur. 06.05.1955 r. Doświadczony pracownik administracji podatkowej. Absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Ma na swoim koncie publikacje książkowe i artykuły w prasie fachowej z zakresu prawa podatkowego.

Debiut literacki w miesięczniku „Twój Dobry Humor” w styczniu 2001 r. wierszem „Monotonny parlament”. Publikował m.in. w „Przekroju”, „Angorze”, „Ziemi Gorzowskiej”, „Pegazie Lubuskim”, w polskojęzycznym miesięczniku „Zdrowie, Uroda i Życie” (Health, Beauty and Life”) w Chicago.

Członek Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Gorzowie Wlkp. Swoje wiersze publikuje na stronie <http://fred.of.pl>.

W technice małej poligrafii wydał kilka arkuszy z własnymi tekstami satyrycznymi. Na podstawie jego wierszy Teatr Seniora „Maski i Twarze” przygotował widowisko „Lud idzie na dziady”. W lipcu 2006 r. nakładem Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Gorzowie Wlkp. wydał debiutancki tomik wierszy satyrycznych „Winien i ma”.

PEGAZ LUBUSKI. Czasopismo Literackie pod auspicjami WiMBP i ZLP. Red. nac. Ireneusz K. Szmidt, z-ca red. nac. Beata P. Klary, sekretarz redakcji: Danuta Zielińska, współpraca: Krystyna Kamińska, Wydawca: WAG „Arsenal”, ul. Matejki 82/3, 66-400Gorzów Wlkp., tel./fax 095 7220958, 0501520227, e-mail: wag.arsenal@wp.pl, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna, ul. Sikorskiego 107, tel. 095 727 70 70, 095 727 80 40 fax 095 727 70 75, skład komputerowy Paweł Marchwiński 0 511 997 611.



Zrealizowano w ramach Programu Operacyjnego „Promocja czytelnictwa” ogłoszonego przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



foto: I.K. Szmidt

Marek Wojciechowski (Lobo)

krótka notka o gorzowskim kloszardzie

Liczył miesiące i lata coraz bardziej znoszonym płaszczem.
 Mówił „dzień dobry” do każdego napotkanego psa,
 widywano go, jak bawił się z wiewiórkami.
 Zasypiał w niszy pod mostem, w zimie lepił się do baru mlecznego,
 popołudniami gdzieś znikał.
 Wygniatał swój chudy zadek na parkowych ławkach,
 przechodząc z jednej do drugiej, szukając wygody.
 Podobno był inżynierem, czy jakoś tak. Zaprojektował most, który się zawalił.
 Winę wziął na siebie, jakby odprowadzał pokutę za wszystkie grzechy.
 Od tego czasu nie projektował już nic.
 Za to, jak nikt inny, potrafił turlać fajerki od pieca pogrzebaczem.
 Teczka (z czasów inżynierskich jeszcze) towarzyszyła mu zawsze.
 Nosił w niej stare gazety z tragedią, trochę szpargałów, czasem bułkę
 dla gołębi. Gołębie go lubiły, tak jak psy i wiewiórki. Ludzie nie bardzo.
 Nazbyt dosłownie przypominał, że im też może się nie wszystko udać.
 Podobno pluł na PRL. Zgroza.
 Łowił okularami zajaczki słoneczne i puszczał je figlarnie do dziewczynek. Chyba
 je lubił, te dziewczynki, może nawet jak zwierzęta,
 choć one śmiały się z niego w drodze do szkoły.
 Odchodził i pojawiał się nie wiadomo skąd, czasem pożyczal
 kumpłom spod mostu parę groszy na piwo. Brali, spuszczać wzrok.
 Potem odszedł i już nikt go nie widział.
 Pewnie gdzieś znów buduje mosty –
 te z mgły, czy chmur tak łatwo się nie zepsują.

Dzisiaj postawili mu pomnik w środku miasta.
 Stoi tam z teczką, pogrzebaczem i fajerką.

Jan Gross

Nowe światło na wieki światłość

To nie odkrywczę,
 Myślę ze smutkiem,
 Pisząc, że życie
 Bywa dość krótkie.

I nic się pewnie
 Długo nie zmieni:
 „Z prochu powstałeś
 W proch się zamienisz”.

Jednak technika
 Daje to szczęście,
 Że możesz dalej
 Błyszczeć w diamencie

I twoje prochy,
 W postaci spieków,
 Zdołają przetrwać
 Na wieki wieków.

Jak na to wszystko
 Pan Bóg się wkurzy,
 To nic dobrego
 Świata nie wróży.

Trudną decyzję
 Podejmie łatwo
 I wieki
 Wyłączy światłość.

Chyba tak będzie,
 Czuję po kościach,
 A dusze będą błędzić
 W ciemnościach.

Komunikat o ostatnich nagrodach Grossa

Jan Gross otrzymał :
 wyróżnienie w konkursie „Limeryki
 suwalskie latem”

I nagrodę i wyróżnienie w konkursie
 na fraszki bocheńskie

III nagrodę w konkursie na wiersz sa-
 tyryczny (w ramach Festiwalu Dialogu
 Czterech Kultur w Łodzi, w czasie które-
 go zorganizowano po raz pierwszy Łódz-
 kie Dialogi Kabaretowe)

BIULETYN

Związku Literatów Polskich

czyli co w Oddziałach piszczy

NR 1/2007

ORGAN ZALEŻNY OD PEGAZA LUBUSKIEGO POD REDAKCJĄ EUGENIUSZA KURZAWY I IRENEUSZA KRZYSZTOFA SZMIDTA

Bądźmy bliżej siebie

Z braku jakichkolwiek informacji przepływającej między nami - członkami Związku Literatów Polskich, z braku biuletynu ZLP, „postanowiłem wziąć sprawę w swoje ręce”. Jako członek ZG ZLP i jeden z prezesów oddziałów. Zgodę na tę formę kontaktów wyraził prezes Zarządu Głównego Marek Wawrzekiewicz, zatem wszystko to dzieje się za jego wiedzą.

Otóż dogadałem się z prezesem oddziału ZLP w Gorzowie Wlkp., Ireneuszem Szmidtem, że na łamach „jego” pisma, pisma oddziału gorzowskiego i miejscowej biblioteki wojewódzkiej pt. „Pegaz Lubuski”, będziemy wspólnie zamieszczali w każdym wydaniu „Informator Związku Literatów Polskich”. W określonym terminie będę oczekiwał na materiały przesyłane do mnie pocztą elektroniczną, redagował te wiadomości i przekazywał do „Pegaza”. Egzemplarze pisma z wkładką ZLP-owską koledzy z Gorzowa rozeszła potem po oddziałach i (ewentualnie) do zainteresowanych członków Związku (chęć otrzymywania należy osobiście przekazać redakcji „Pegaza”).

Dlatego też proszę usilnie o nadsyłanie (nawet już teraz) bieżących informacji o życiu każdego oddziału. Na początek trochę „statystyki oddziałowej” (ilu Was jest, ilu przybyło, ilu ubyło - imiona i nazwiska), do tego dane o ważnych wydarzeniach w środowisku, o spotkaniach autorskich, wydanych przez kolegów książkach (wystarczy zwykła metryczka książki), a także wyjazdach zagranicznych.

Podkreślam, iż zależy mi na krótkich i zwięzłych przekazach typowo dziennikarskich, a nie literackich opisach i recenzjach. Dłuższy będę ciął!

Sprawa druga - termin. Kto się nie zmieści w cyklu produkcyjnym pisma, może sobie pisać „na Berdyczów”.

Wszelkie materiały (bez zdjęć, rysunków, ilustracji) pisane w „Wordzie” proszę przysyłać pocztą elektroniczną na taki adres: ekurzawa@gazetalubuska.pl

Eugeniusz Kurzawa
prezes oddziału ZLP w Zielonej Górze

Oddział ZLP Kraków

* zarząd: prezes: **Szczęśny Wroński**, wiceprezes i skarbnik: **Lidia Żukowska**, sekretarz: **Danuta Perier**, członkowie zarządu: **Dorota Lorenowicz**, **Marcin Kania**.

* **ważniejsze wydarzenia:** **Zofia Garbaczewska-Pawlikowska** skończyła 85 lat, **Marcin Gołąb** – 80, zaś **Lidia Żukowska** 75. Wszyscy seniorzy oddziału otrzymali kwiaty i listy gratulacyjne w czasie wieczorów jubileuszowych, na których prezentowali własną twórczość. Wieczory odbyły się w Śródmiejskim Ośrodku Kultury przy małym Rynku w czerwcu tego roku. Natomiast wieczór jubileuszowy L. Żukowskiej odbył się 3 października w „Kotle Artystycznym” przy ulicy Szczepańskiej 12.

– W Domu Kultury „Podgórze” 30-lecie pracy twórczej (18 września 2007 r.) obchodził prezes oddziału **Szczęśny Wroński**. Spotkanie z pisarzem, ale i aktorem prowadził **Lukasz Mańczyk**, zaś **Jacek Kajtoch** omówił jego dorobek literacki.

– 21 września 2007 r. w Śródmiejskim Ośrodku Kultury odbyła się promocja XXXV almanachu „Krakowska Noc Poetów” będącego pokłosiem „Nocy poetów”, która odbyła się 21 czerwca w siedzibie Teatru Zależnego przy ul. Kanoniczej 3. Promocję prowadziły cztery pokolenia poetów: J. Kajtoch, Sz. Wroński, M. Kania i członkini Koła Młodych **Joanna Bąk**.

– Stypendia artystyczne Miasta Krakowa dla młodych twórców w dziedzinie literatury w roku 2006 otrzymała **Małgorzata Lebda**, a w roku 2007 **Daniel Lizoń**. Obydwoje są członkami Koła Młodych przy oddziale, którym opiekuje się D. Perier. – Oddział planuje na koniec roku wydanie pisma, które będzie jego organem prasowym; ma nosić tytuł „Literat Krakowski”. Będzie miało formę rocznika lub półrocznika, w zależności od możliwości wydawniczych i potencjału twórczego autorów. Zawartość ma stanowić głównie proza, teksty literaturoznawcze, eseje i recenzje.

zebrał i opracował **I. S. F.**

Oddział ZLP Łódź

Po zakończeniu II wojny światowej życie literackie kraju skupiło się w Łodzi. Reaktywowany Związek Literatów Polskich otrzymał do swojej dyspozycji od władz miasta wielopiętrowy dom, położony w centrum miasta, u zbiegu obecnych ulic Kościuszki i Mickiewicza. Prócz mieszkań dla najwybitniejszych poetów i prozaików znalazł tu również siedzibę Zarządu Główny ZLP, który przez 5 lat, do roku 1950, prowadził swoją działalność.

Po przeniesieniu Zarządu Głównego do Warszawy, jego pomieszczenia zajął stworzo-

ny łódzki oddział ZLP, który działał w tym miejscu aż do roku 1982. Niestety, względy finansowe spowodowały, że nie był w stanie płacić bardzo wysokiego czynszu narzuconego przez administrację dzielnicy i tylko dzięki pomocy Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki im. J. Piłsudskiego znalazł gościnę w wydzielonych pomieszczeniach biblioteki przy ul. Skłodowskiej-Curie.

Aktualnie oddział łódzki obejmuje swym zasięgiem twórców nie tylko z Łodzi, ale i województwa, że wymienię Zduńską Wolę, Piotrków, czy Bełchatów. Oddział, kierowany obecnie przez kol. **Annę Kiesewetter**, liczy 23 aktywnych członków i kilkusobową grupę młodzieży, stawiającej pierwsze kroki twórcze w Kole Młodych. Niestety, na liście Oddziału znajduje się jeszcze 18 nazwisk pisarzy, którzy nie uczestniczą w jego życiu i od wielu lat nie opłacają składek członkowskich. W tej sytuacji w najbliższym czasie Zarząd Oddziału wystąpi do Zarządu Głównego o skreślenie tych osób.

Oddział łódzki prowadzi działalność organizując liczne wieczory autorskie, w uczynianych bezpłatnie lokalach miejskich bibliotek, kilku zaprzyjaźnionych kawiarniach, czy w pomieszczeniach Związku Nauczycielstwa Polskiego. Na podkreślenie zasługuje zorganizowanie w czerwcu br. wystawy prac pisarzy regionu łódzkiego oraz bardzo aktywna działalność grupy literackiej w Zduńskiej Woli.

27 września br. odbył się wieczór autor-
ski jednego z najlepszych łódzkich poetów,
członka ZLP, **Jana Juszczyka** (urodził się
na Kielecczyźnie, wyższe studia kończył w
Łodzi: w latach 1948–1952 studia filozoficzne,
a w latach 1955–1964 historyczne. W roku
1973 obronił pracę doktorską na Uniwersytecie
Śląskim w Katowicach. Opublikował ponad
20 prac naukowych związanych z dziedzinami,
którymi się przede wszystkim interesował,
a mianowicie z dziejami polskiej oświaty
i dziejami Rusi Kijowskiej. Debiutował
wierszami w 1950 r., a od tego czasu wydał
13 tomików poezji, poezji specyficznej, trudnej,
zmuszającej do myślenia).

Osobowość poety najlepiej scharak-
teryzował w roku 1993 **Edward Kolbus**
w przedmowie do tomiku wierszy pt.: „Tyle
w nas milczenia”, pisząc: „Poeta ma świadomość
zawieszenia w próżni, gdzie tak wiele
pragnień a tak mało spełnień, gdzie tak łatwo
o pozór a tak trudno o prawdę. Dlatego w py-
taniu do Stwórcy wyznaje mu swój niepokój
i sytuuje zajęte swym niepewnym jestestwem
miejsce gdzieś między śmietnikiem a parna-
sem, między zbrodnią a krzyżem – wyznając, że
dźwiga siebie coraz ciężiej, kluczając od prawdy
do prawdy”.

To piękne słowa, piękne jak poezja Jana
Juszczyka i dlatego długa była nad nią dysku-
sja, która trwała prawie 3 godziny, przerywana
recytacjami wspaniałych wierszy poety, które
wymagają przemyśleń i nawiązują do obecnego
Świata. Oby takich poetów było więcej!

Opracował **Andrzej Zimowski**

Oddział ZLP w Gorzowie Wlkp.

Liczy 13 członków zwyczajnych i 7 kan-
dydatów. Cztery podania o przyjęcie w poczet
członków organizacji będzie rozpatrywać
w listopadzie Komisja Kwalifikacyjna przy
Zarządzie Głównym ZLP, w tym laureata
Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2006,
Józefa Wawrzyńca Kozdronia, autora trzyto-
mowej sagi pt. „Kmieć Sokolic z roli” oraz
Beaty Igielskiej – autorki zbioru opowiadań
pt. „Jedyna miłość” i tomu wierszy „Między
niebem i ziemią” o tzw. uzwyczajnieniu .

Zarząd Oddz. ZLP w Gorzowie Wlkp.
jest wydawcą wspólnie z dyrekcją WiMBP w
Gorzowie i Wydawnictwem Artystycznym
Arsenal czasopisma literackiego „Pegaz
Lubuski” i książek autorów gorzowskich
dotowanych z budżetu m. Gorzowa Wlkp.
w serii Biblioteki Pegaza Lubuskiego.
Dotąd wydano 12 pozycji poezji i prozy

Siedziba: WiMBP, ul Sikorskiego 107. 66-
400 Gorzów Wlkp., tel. kontakt. 501 520 227,
adres kontakt. ul Jana Matejki 82/2, 66-400
Gorzów Wlkp. tel/fax 095 7 220 95; E.mail:
zlp.gorzow@wp.pl, wag.arsenal@wp.pl.

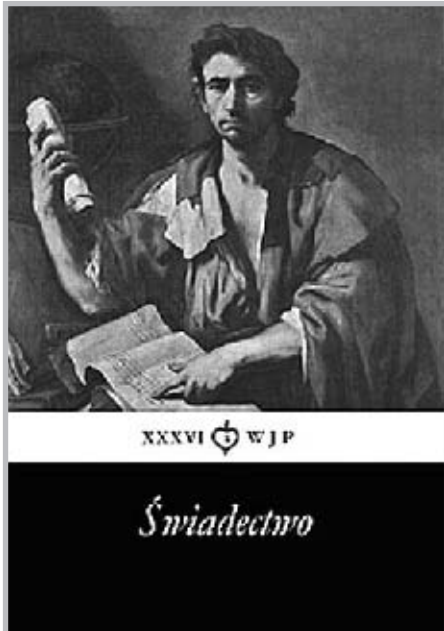
Skład Zarządu: Ireneusz Krzysztof
Szmidt – prezes, Marek Grewling –
wiceprezes, Krystyna Caban – skarbnik,
Tadeusz Szyfer - członek



Pocztą z WARSZAWY

Z okazji XXXVI Warszawskiej Jesieni
Poezji ukazała się nakładem ZLP antologia
w opracowaniu artystyczno-graficznym Pio-
tra Toboły-Pertkiewicza, w której za sprawą
dokonanego wyboru przez Andrzeja Gna-
rowskiego, znalazły się wiersze zagranicz-
nych i polskich poetów, uczestników WJP.

Z przedmowy pióra Marka Wawrzkie-
wicza: *Pisanie wierszy jest dawaniem świadectwa. Wiersz nie musi, a może nawet nie powinien, odnosić się do tematów i spraw największych, najbardziej ogólnych. Nie musi i nie powinien posługiwać się językiem wzniosłym i głosem gromkim, ponieważ nie ma języka stworzonego specjalnie dla poezji – jest język powszedni, wystarczająco bogaty, aby mógł wyrazić wszystko. Los poety zapisany w wierszu jest przeciwieństwem losu wspólne-
go – losu większej społeczności, może nawet narodu; jest też świadectwem własnego czasu. I daje się odczytywać ten czas przez wiersze. Czasem mi się zdaje, że wiersze są wierniejszym świadectwem czasu niż najbardziej naukowe prace historyczne. Świadectwem prawdziwszym i bardziej przejmującym.*



*Antologia XXXVI WJP „ŚWIADECTWO”
Wybór tekstów: Andrzej Gnarowski
Przemowa: Marek Wawrzkiwicz
Opracowanie artystyczne i graficzne:
Piotr Toboła-Pertkiewicz
Wydawca: ZG ZLP, 2007
ISBN: 978-83-924450-2-9
Cena: 10 zł
Do nabycia: Dom Literatury, Warszawa, Kra-
kowskie Przedmieście 87/89
(na portierni lub w Oddziale Warszawskim,
I piętro)*

Oddział ZLP Zielona Góra

* władze oddziału: prezes – **Eugeniusz Kurzawa**, wiceprezes – **Janusz Koniusz**, sekretarz – **Katarzyna Jarosz-Rabiej**, skarbnik – **Robert Rudiak**, adres: 65–069 Zielona Góra, al. Wojska Polskiego 9 (biblioteka wojewódzka), poczta elektroniczna do prezesa: ekurzawa@gazetalubuska.pl, tel. służbowy w godz. 12.00–16.00: 0 68 324 88 54.

* wydarzenia: – solidnie przygotowaliśmy się do Zjazdu ZLP, m.in. przysyłając dobrze udokumentowaną propozycję zmian w statucie, zaś nasz prezes E. Kurzawa był jednym z prowadzących Zjazd,

– tradycyjnie w maju w bibliotece w Żarach odbyło się „Spotkanie pod magnolią”, a po niej Biesiada u Witaszka; tematem imprezy, z udziałem dużego grona literatów lubuskich, była książka w życiu i twórczości pisarza,

– po raz kolejny oddział patronował ogólnopolskiemu konkursowi prozatorskiemu im. Eugeniusza Pauksty w Kargowej (który zresztą zainicjował),

– dzięki zabiegom władz oddziału ZLP, władz samorządowych Kargowej i nadleśnictwa Babimost udało się doprowadzić do otwarcia w osadzie leśnej Linie koło Kargowej domu pracy twórczej Leśniczówka Linie. W miejscu tym wypoczywał i tworzył w latach 50. i 60. pisarz E. Pauksta. Pierwszym gościem w odnowionej Leśniczówce Linie był poeta, krytyk, filozof prof. **Jan Kurowicki** z żoną,

– Klub Literacki w Żarach, istniejący w ramach oddziału, zainicjował nowy konkurs literacki pt. „Nie pisz do szuflady”,

– dwóch naszych członków, **Mieczysława J. Warszawski** i **Robert Rudiak**, otrzymało po latach posuchy nagrody kulturalne prezydenta Zielonej Góry,

– wyszły kolejne książki ZLP-owskich autorów oraz odbyły się ich promocje, nasi autorzy brali udział m.in. w Warszawskiej Jesieni Poezji czy w międzynarodowym seminarium literackim w Nidzie na Litwie.

* stan. Obecnie oddział liczy 22 członków i troje kandydatów, z których jedna osoba (ze względu na dorobek) powinna wkrótce zostać członkiem. Ponadto wnioski o wstąpienie złożyło troje uznanych autorów z dorobkiem, co powinno wkrótce podnieść liczebność oddziału do 26 osób.

Oddział ZLP Wrocław

Po raz czwarty Dolnośląski Oddział ZLP organizuje Międzynarodowy Festiwal Poezji „Poeci bez Granic”. Polscy, czescy, niemieccy, ukraińscy i wietnamscy poeci w połowie listopada spotkają się w Polanicy Zdroju, żeby prezentować swoje dokonania, dyskutować o kondycji literatury i kultury. Odwiedzą też Kłodzko, źródło Festiwalu, gdyż jego idea jest kontynuacją niedysyjszych Kłodzkich Wiosen Literackich.

Efektom spotkania pięćdziesięciu twórców ma być – jak co roku – pofestiwalowy almanach.

Oprac. **Krzysztof Petek**
www.peterek.prv.pl